

Folha Polonêsa

**Przegląd
Polski**
REVISTA POLONÊSA

ROK 2. N.º 8 — MARZEC-KWIECIEŃ — 1961



Przegląd Polski

REVISTA POLONÊSA

D W U M I E S I Ę C Z N I K

N.º 8 — MARZEC - KWIECIEŃ — 1961

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY : João Castaldi del Ruccillo

Redaktor: Seweryn A. Hartman

Dyrektor : Stanisław Biliński

Wydaje: Sociedade Brasileira de Expansão Comercial Ltda.

Redakcja i administracja : rua Barão de Itapetininga, 221
conj. 1203 - Fone : 35-5584 - Cx. P. 6335 - S. PAULO, Brasil

Warunki prenumeraty: 300 Cr\$ rocznie (za 6 numerów)

Za granicą US \$ 2,00

Rękopisów i zdjęć niezamówionych redakcja nie zwraca.

Złożono i tłoczono w Drukarni "Ludu" - Kurytyba, Al. Cabral 846

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne.
W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

DELACO

Comércio e Indústria Ltda.

laminados plásticos,

decorações, revestimentos

SÃO PAULO, Rua Consolação, 825

Fone: 34-1246 e 32-1022

Sprzedaż FORMICA w arkuszach
i kawalkach.

Jedyna firma w São Paulo wyspecjalizowana we wszelkich dekoracjach, aplikacjach i meblach artystycznych, wyłącznie z "FORMICA".

Indústria Metalúrgica STELLA Ltda.



Fabryki :

rua Serra de Japi, 31 — Tel.: 9-0262 — SÃO PAULO
Via Monteiro Lobato — GUARULHOS

Biuro: — rua Conselheiro Crispiniano 53 9.º
Tel.: — 35-9180 i 35-9189

RURY KANALIZACYJNE
I PRZEMYSŁOWE

Construções Mecânicas

Rozenowicz Ltda.

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

PELAS RELAÇÕES CULTURAIS POLONO-BRASILEIRAS

O nome do Brasil tornou-se conhecido na Polónia desde a sua descoberta. Porém, nos primeiros séculos as notícias da terra do pau-brasil eram tão vagas e imprecisas, que muitos colocavam este país num ponto, que parecia ser mais o lugar onde terminava o mundo, do que qualquer outra coisa. Até mesmo na época em que o célebre capitão da armada, Cristóvão Arciszewski, lutava para os Holandeses pela posse de Pernambuco, para muitos este país constituía um enigma. O nome do Brasil adquiriu o seu verdadeiro significado para os poloneses somente quando a Polónia perdeu a sua própria liberdade e muitos deles procuraram nova pátria na terra de Machado de Assis. Os cem anos que se seguiram e durante os quais milhares e milhares de imigrantes poloneses seguiram ao Brasil, concorreram bastante para a popularização deste país na Polónia, tornando conhecidos a sua posição geográfica, seu clima, seu povo e seus costumes. E em consequência disso, esta maravilhosa terra tomou aspecto duma miragem, onde era possível refugiar-se do cotidiano, da vida atormentada, possibilitando a cada um viver uma extraordinária aventura com o desconhecido.

As relações entre a Polónia e o Brasil sempre foram os mais cordiais e amigáveis. A simpatia que muitos dos grandes brasileiros tiveram pela pátria de Chopin data do tempo em que este país constituía para muitos exemplo de patriotismo ardente e sacrifício pelas cousas pátrias. Cada levante armado contra os opressores da Polónia encontrava um eco de simpatia nos brasileiros e seu apoio moral à causa justa dos poloneses.

Além disso, a literatura polonesa e principalmente neste caso a obra de Henryk Sienkiewicz teve grande influência nos meios intelectuais brasileiros. Vários poetas e escritores, tais como: Machado de Assis, Joaquim Nabuco, Tobias Barreto e muitos outros incluindo-se entre eles também o grande Ruy Barbosa, batalharam com suas penas em favor do país retalhado e oprimido.

Estas foram, entre muitas outras, as causas que levaram tais poloneses como Rozwadowski, Przewodowski e outros a se entregarem com corpo e alma para o Brasil e trabalhar até o seu último alento no engrandecimento deste belo país. Tais fatos poderíamos enumerar indefinidamente, para demonstrar os mais diversos êlos, que unem esses dois países, que, embora tão distanciados, possuem no entanto muita coisa em comum.

Atualmente, além das relações diplomáticas, os dois países mantêm entre si, vantajoso para ambas as partes, muito largo intercâmbio comercial. Existe também, embora em escala muito diminuta, a troca de elementos culturais, que são constituídos por uma ou outra visita de escritores, artistas ou pessoas do mundo de ciências. Há também as obras literárias traduzidas do português para o polonês e vice versa. Na Polónia conhece-se nomes de Jorge Amado, Machado de Assis, Ruy Barbosa, Cândido Portinari, Carlos Gomes e outros, assim como os brasileiros sabem o que significam no mundo da cultura Maria Skłodowska-Curie, Frederico Chopin, H. Sienkiewicz, W. Reymont, Z. Kossak etc. O mesmo pode-se dizer a respeito de alguns filmes poloneses e brasi-

leiros e em relação aos elementos de folklore. Porém, tudo isso é tão pouco, tão diminuto em relação aos bens culturais que ambos os países possuem, que torna-se imperioso ampliar e aprofundar esta troca. No campo da literatura devia ser feito muito mais, o mesmo há para se realizar em artes plásticas, teatro, arquitetura, ciências, enfim, em tudo que é considerado produto do intelecto humano e mãos hábeis de artistas.

Para que isso possa ser realizado, torna-se necessário que os dois países entrem em entendimento e cheguem a um acordo que possibilite aos poloneses conhecer a cultura brasileira, embora jovem, porém de grande futuro, e, aos brasileiros as realizações milenares do laborioso povo polonês. A diferença dos regimes dos dois países não representam, a nosso ver, obstáculo nenhum, porque a cultura não depende nem do regime, nem de orientação política. Ela emana do espírito de cada povo, conforme o grau do seu desenvolvimento e constitui o patrimônio da humanidade.

(jk)

Jan Brzechwa na łamach *Zycia Warszawy* w artykule p.t.: *Literatura kadłubowa* pisze m. in.:

"Dawniej rozważania na temat literatury obejmowały... poezję, ale nie całą, lecz wyłącznie... liryczną. Odkąd jednak tabuny grafomanów, podających się za awangardę i popieranych przez kilku starzejących się pochlebców zburzyły wszelkie prawa językowe, składnię, (1) gramatykę, interpunkcję, poezja stała się dostępna nawet dla półanalfabetów i przestała być pojęciem literackim. Z chwilą, gdy na każdej klatce schodowej, na każdym niemal podwórku, znaleźli się ludzie, którzy nieartykułowany bełkot ujmują w graficzne słupki przypominające kształtem budowę wiersza, "poezja" zalała miasta i miasteczka, a więc stała się raczej objawem epidemicznej psychozy".

Ale prawdziwą rewelacją stał się wiersz Antoniego Słonimskiego, ogłoszony na łamach *Nowej Kultury*. Od tytułu tego wiersza zapożyliśmy tytuł naszego artykułu.

(1) Nota bene, drogi panie Janie, składnia jest częścią gramatyki.

Gdy modny bełkot snobistycznej blagi
Krytyk zaciemnia kadzidlany dymem,
Doszło do tego, że aktem odwagi
Jest wiersz napisać z rytmem, sensem, rymem.

Tacy są trudni chłopcy nasi, twardzi,
Patos i liryzm taki wstręt w nich budzi,
Tak jeden z drugim światem awangardzi,
Że wiersze pisze jakby pluł na ludzi.

I cóż że biedne słowa wypokraczy
I włoży w szereg dźwięcznych skojarzeń?
Wiersz kiedy nie jest pokarmem dla marzeń,
Gdy nie jest skargą, buntiem - nic nie znaczy.

Ze go młodzieńcza oślepiła pycha
Prostotę gotów uznać za prostactwo,
Więc gdy rozsypie czcionki jak robactwo,
Widząc tasiemce słów - czytelnik wdycha.

Mój przyjacielu, nie wstydź się, nie rumień,
Bo to są słowa które bałamuć.
Nigdy się twojej pamięci nie wróć
Ani nie trafią do serc i do sumień.

Poeto, szukaj słowa co nie ludzi
Znajdź to jedyne, trafne, które przy tem
Łączy się z rymem jak lont z dynamitem
A może wiersz napiszesz. Wiersz dla ludzi.

W następnym numerze *Nowej Kultury* ukazał się list otwarty poety poświęcony czytelnikom życzliwym, skromnym, niezłotym, nieskromnym oraz P. T. idiotom.
List ten zamieszczamy in extenso.

W OBRONIE WIERSZA

Od pewnego czasu na łamach prasy literackiej i codziennej toczy się w Polsce dyskusja na temat współczesnej poezji.

Nic tak nie obrodziło w kraju jak poeci. Wszyscy młodzi ludzie i młode damy, którym nie obcy jest kunszt pisanie na maszynie lub wiecznym piórem, czując powołanie wieszczce, płodzą wiersze. Są to właściwie wiersze tylko z nazwy, samą tylko formą graficzną imitującą utwór poetycki. Nie ma w nich ani rytmu, ani z reguły rymu, co zresztą nie jest jeszcze grzechem, ale co gorza — sensu.

Dla przykładu bierzemy pierwszy z brzegu wiersz Romualda Karysia, zamieszczony w jednym z numerów tegorocznej *Nowej Kultury*, z góry przepraszając młodego autora, iż będziemy się znęcać nad jego utworem zamiast nad tysiącem, jeszcze gorszych niekiedy bzdur, innych wierszokletów.

Dwudziestu czterech trzeba godzin,
nim się rozprószy mur czekania,
a potem zaświdruje murem — cisza.

Oto pierwsza zwrotka. Mowa tu, jak wynika z dalszych zwrotek, o murach więzienia. I jednocześnie o murze czekania więźniów na zmianę ich losu. Tak się przynajmniej wydaje. Czy ów mur czekania ma się rozprószyć, czy rozproszyć i dlaczego murem (więzienia) zaświdruje cisza nie wiadomo.

Druga zwrotka jest jeszcze bardziej tajemnicza.

Dwadzieścia cztery liżąc palce
liżąc więźniowie na różnecach,
leniwie karmiąc embrion czarny.

W pierwszej chwili można uczynić błędny wywód, że więźniowie liżą dwadzieścia cztery palce, licząc na różnecach. Ale tak źle nie jest. Są to owe dwadzieścia cztery godziny czekania. O jakiego embriona chodzi, którego karmią leniwie więźniowie i dlaczego ten embrion jest czarny to już nie zapewne tylko autor (a może i on nie wie?).

Kofcowa zwrotka:

"Dwadzieścia cztery — i już kuje
ludwisarz w sferach olbrzymi dzwon,
który upadnie na zasłony.

Znowu dwadzieścia cztery! Kto jest ludwisarzem kującym dzwon (nota bene: dzwony się odlewa, dzwonów się nie kuje) — zły duch, Bóg, śmierć? (Komu bije dzwon). Na jakie zasłony ma upaść dzwon? Ciemna zagadka, której nie podejmuję się rozwiązać.

Ktoś mógł by zarzucić, że przeprowadzanie rozbioru logicznego jest niesłuszne, nie zgadza się z duchem nowoczesnej poezji. Jest w tym sporo racji. Nowocześni poeci starają się wywołać u czytelnika jedynie jakieś asocjacje myślowe lub określony nastrój. Czasem zaś rzecz polega na udziwnianiu bez widomego sensu, na kojarzeniu barwnych słów lub kojarzeniu dźwięków.

W naszym przypadku Karys chciał zapewne wyrazić beznadziejność życia więziennego, z którego wyzwala tylko śmierć.

W każdym razie to ple-pł bez ładu i składu, ta lawina okropnych wierszydeł, którym poświęca się w Polsce (i na całym Zachodzie) kolumny w tygodnikach literackich zaczyna denerwować i przerażać niektórych twórców starszego pokolenia.



Słynny Dunajcem.

"Wiele osób wyraziło mi swoje uznanie za utwór zatytułowany "W obronie wiersza" zamieszczony w Nr. 2 "Nowej Kultury". Pragnę tą drogą podziękować moim korespondentom. Listy i telefony pochodziły przeważnie od inteligencji interesującej się poezją i dominowało w tych wypowiedziach uczucie ulgi. Czytelnicy ci po przeczytaniu mojego wiersza poczuli się jak gdyby trochę pewniejsi swego gustu literackiego, przywróceniu do prawa wyrażania swej opinii i pocieszeni w kompleksie niższości, na który ostatnio cierpieli wobec piekielnie mądrych i zawitych "nowoczesnych" poetów i krytyków.

Pragnę jednak dodać w charakterze ostrzeżenia, że nie należy być zbyt dumnym z tego, że się czegoś nie rozumie. Wydaje mi się, że czytelnik naprawdę życzliwy i uważny powinien zdobyć się na pewien wysiłek i poznać tomiki paru młodych poetów. Przy uważnym zapoznaniu się z tekstem, być może odróżni tych, którzy mają coś do powiedzenia, którzy szukają nowych form wypowiedzi, od bardzo niestety licznych grafomanów, którym konwencja nowoczesności ułatwia mistyfikację. Winę za tę niespotykaną dotąd inflację poezji i rozplenienie się grafomanii ponoszą, według mnie, w większej mierze niż młodzi poeci, ci krytycy, którzy rozgrzeszają zbyt łatwo wszelką pretensjonalność i stwarzają tak charakterystyczny dla naszych czasów terror "nowoczesności".

Jak trudna jest dyskusja na tym teraźniejszym wyjętym spod praw logiki i gramatyki niech posłuży za przykład recenzja znawcy literatury i wybitnego tłumacza J. Rogozińskiego o Grochowiaku. Cytuje on pochlebnie, jako "poznawcze", te właśnie fragmenty wierszy Grochowiaka, które ja osobiście napiętnowałbym jako najgorsze, wręcz karykaturalne. Oto próba:

*"Pośród agrestów
Drucianych i śliskich
Ze biorą księżyc w drobne siatki kucia
Męskość poety dojrzewa tak białą
jakby gruslica zwapniała mu nerwy".*

Gruslica nie zwapnia nerwów. Poza tym zupełnie ple-pie. Fragment, który Rogoziński cytuje, pochodzi, jak powiada, z jednego "z najlepszych wierszy" Grochowiaka. Pragnę was pocieszyć. Wszystkie inne wiersze

Grochowiaka są lepsze. Ten jest wyjątkowo niedobry. Oczywiście nie mam na to żadnego dowodu. Rogoziński może powiedzieć, że ja nie mam racji, że nie znam się na poezji, a ja mogę was tylko jeszcze raz zapewnić, że on nie ma racji.

Chodzi tu jednak o coś więcej niż o różnice smaków czy turniej autorytetów. Moja niezgoda na tego rodzaju poetykę wynika z przyczyn głębszych i nie wstydzę się dodać, światopoglądowych. Drażnią mnie tu pozostałości barbarzyńskiego włoskiego futuryzmu, pokutują tu jeszcze stare surrealistyczne koncepcje André Bretona. Przypomnijmy co, modny znów u nas, Breton głosił w programowej swej wypowiedzi: "Pisanie automatyczne, opisywanie snów, wyzyskiwanie wszystkich form obłądów, automatyzmu, halucynacji stają się nowymi instrumentami poety". (G. Picon "Panorama myśli współczesnej"). O tym automatyzmie pięknie powiada znakomity biolog francuski Paul Chaudard: "Obowiązek polega po prostu na tym, że człowiek, ponieważ jest człowiekiem, powinien postępować jak człowiek. Moralność biologiczna wskazuje nam, że zło jest tym, co przeciwstawia się rozwojowi świadomości i wyzwoleniu własnemu i innych ludzi; odwrotnie dobro jest tym, co sprzyja temu wznoszeniu się. Zło zbliża nas do tego, co automatyczne i nieświadome, do zwierzęcia... ("Evolution de la Conscience et Conscience de l'Evolution"). Podobnie o automatyzmie mówi G. G. Simpson.

W obronie "nowoczesności" padają często bardzo mylące przykłady zaczerpnięte z dziedziny malarstwa. Malarstwo niefiguratywne nie przestaje być malarstwem, bo podstawą nie przestaje być barwa, forma i faktura. Nikt rozsądny nie odmówi piękna malarstwu nieprzedstawiającemu: mozaikom, witrażom czy malowidłom czysto dekoracyjnym. Inaczej jest z mową ludzką, której formą związaną jest poezja. Odebranie słowom pojęciowości na pewno zubaża poezję. Zagubienie frazy poetyckiej i melodyjności wyjąłaby ją do reszty.

Popularnym argumentem jest stosowanie analogii. Impresjonistów z początku też nie uznawano, a teraz wszyscy się zachwycają! Jest w tym dość osobliwa logika. Ponieważ kiedyś niesłusznie nie uznano czegoś niezrozumiałego, więc powinniśmy uznawać wszystko, co jest niezrozumiałe. (Z tym nie-

uznawaniem impresjonistów, to warto również przypomnieć, kto ich nie uznawał, a kto doceniał). Często też szermuje się argumentem, że na całym świecie teraz tak piszą. Trochę jest w tym prawdy, ale bardzo powierzchownej. Istotnie, zwłaszcza we Francji rozkrzewiło się wiele dziwactw. Przewidywał to Paul Valéry mówiąc, że ambicja doskonalenia się ustąpiła przed "obsesją oryginalności". (Variété III). Wyścig oryginalności porównać można do konwentu rewolucyjnego, gdzie wczorajszy radykał był już nazajutrz tradycjonalistą i głowy padały gęsto.

W Anglii i Ameryce jest dość ostry zwrot przeciw rozchwiałości bitników. Ostatnio zaatakował ten odwrót od intelektualizmu Karl Shapiro. Nie zapominajmy, że poezja C. Sandburga, T. S. Eliota, Audena, Spendera, Ginsburga jest poezją na wskroś intelektualną i że właśnie tam bardzo ostro krytykuje się pretensjonalność i belkot poetycki. Więc może czas było trochę pogadać o tym i u nas?

A teraz parę jeszcze uwag dla p.p. Idiotów.

1. Uznaję pierwiastek irracjonalny w poezji i nawet gotów jestem mu przyznać siłę napędową. Jeśli się chce jechać samochodem, trzeba uznać fakt istnienia motoru. Ale trzeba również zwracać uwagę na kierownicę. Jeśli kto chciał jechać przy pomocy samej kierownicy, nie ruszy z miejsca. Gdy będzie jechał bez kierownicy, niedaleko za jedzie, albo gdzieś indziej niż zamierzał, albo najpewniej rozbije się.

2. Uznaję poezję trudną, ale nie uznaję poezji utrudnionej. Wiemy, że są rejony w poezji trudne do wyrażenia i że trud podążania za poetą opłaca się czytelnikowi, ale wiemy, że często trud ten się nie opłaca, pisarz niewiele ma do powiedzenia i zasłania się niezrozumiałstwem lub po prostu nie potrafi w ogóle znaleźć formy wypowiedzi. Sama trudność nie wystarcza, jak nie wystarcza sama komunikatywność. Nowe zdobycze poezji? Niebardzo wiem, co to takiego. Norwid jest dla mnie nowocześniejszy od Marinettiego. Jeden z moich korespondentów pisze: "Dlaczego Pan przemilcza grafomanie konwencjonalną? Jest bardzo dużo wierszy złych, które mają rymy, rytm i sens". Wcale nie przemilczam. Od kilkudziesięciu lat borykam się z różnego rodzaju grafomanią bogoojczyźnianą, tandetą literacką i szmيرًا. ("Moje walki nad Bzdurą"). W obecnej chwili uważam za groźny bezprzykładny załew belkotu "nowoczesnego".

3. Można pisać bez rymu. Sam to nieraz robię. Można łamać rytmię. Nawet czasem można pisać bez sensu. Ale nie wszystko naraz. W takim wypadku lepiej powstrzymać się od pisania.

Na tym zamykam rozmowę z czytelnikami. Proszę mi wybaczyć, że w moim wierszu nie odpowiedziałem na wszystkie te pytania, jeśli jednak wiersz ten przyniósł paru czytelnikom satysfakcję, paru podrażnił, innych pobudził do rozważań nad poezją, zadanie swoje spełnił.

Antoni Słonimski.

Pozwalam sobie wątpić, czy argumenty Księcia Poetów trafią do przekonania wierszokletem spod znaku Bzdury i ich obrońcom. Powiedzą pewno, że starość i doświadczenie nigdy nie zrozumieją młodości.

Aramis

CARLOS DRUMMOND DE ANDRADE ANEGDOTA BULGARSKA

*Był sobie kiedyś pewien car-przyrodnik,
co polował na ludzi.
Kiedy mu powiedziano, że poluje się także
na motyle i kaczki,
przeraził się,
wydało mu się to barbarzyństwem.*

Tłum.: M. L. S.

Plaga biblijna

SEWERYN HARTMAN

Opowiadała mi pewna znajoma jak jadąc autobusem do Kurytyby wstąpiła do przydrożnego baru, żeby napić się kawy. Nie zdążyła jeszcze podnieść do ust filiżanki kiedy odwołał ją kierowca.

— Niech pani nie pije, — szepnął. — W tym domu są trędowaci.

— Nie mówiłbym tego — dodał — gdyby pani nie była ładna. Pomyślałem sobie: szkoda byłoby takiej dziewczyny.

Kierowca mówił prawdę. Ojciec właścicieli baru chorował na trąd i rodzina nie chciała go oddać do szpitala. Starszy pan nie był zresztą nieużyteczny: pracował pilnie przy wyrobie sera Minas.

Zupełnie przypadkowo wspomniałem o tym doktorowi Onildo. Doktor Onildo, tęgł, jowialny starszy pan o kartoflanym nosie i zupełnie nie brazylijskich wąsach, jak wiechy, uśmiechnął się:

— O, święta naiwności! — wykrzyknął. — Wszyscy stykamy się z trędowatymi codziennie w autobusie, w kinie, w barze. Niech pan to powie swojej znajomej, niech pan to powie...

Odparłem, że mnie to dziwi i że jak słyszałem trędowaci powinni przebywać w leprozariach, nie zaś spacerować na wolności.

Doktor Onildo pokręcił głową. Wyjaśnił, że trąd jest chorobą, w której okres wylegania trwa niezmiernie długo. Zazwyczaj trzy do pięciu lat ale zdarza się, że pierwsze objawy występują w dziesięć lub nawet dwadzieścia lat po zakażeniu. Bywa, że chory nie zdaje sobie sprawy ze swego stanu, chociaż pozostaje w okresie najbardziej niebezpiecznym dla otoczenia. Wynika to zarówno z niskiego uświadomienia sanitarnego ludności, jak i z tego, że pierwsze stadium choroby przebiega niekiedy pozornie bezobjawowo.

Nie mogłem pojąć dlaczego się tak dzieje.

— To bardzo proste! — powiedział doktor Onildo. — Zmiany chorobowe występują przeważnie najpierw w błonie śluzowej nosa. Chory lekceważy sobie te drobne dolegliwości, kicha i kichając rozsiewa bakterie. Stąd też mówi się, że zakażenie trądem odbywa się najczęściej "z nosa do nosa".

— A więc jesteśmy bezustannie narażeni na zakażenie!

— Tego nie powiedziałem, — zastrzegł się doktor Onildo. — Być może nawet, iż częste stykanie się z zarazkami wywołuje odporność organizmu. Każdy z nas ma np. w jamie ustnej mnóstwo bakterii, niekiedy bardzo zjadliwych, a mimo to zakażenie nie następuje. Musi istnieć szereg warunków aby się to stało, jak: zaatakowanie człowieka przez dużą ilość zjadliwych mikroorganizmów, brak odporności itd. Pouczający jest pod tym względem wypadek zakażenia trądem ludności wyspy Nauru, położonej na Pacyfiku.

— Czytałem o tym — wtrąciłem. — Na wyspie trąd był nieznan. Zarazę przywłókł jeden jedyny Chińczyk...

— ... I zachorowało 70% ludności! — dodał doktor Onildo, klepiąc mnie wielką łapą w kolano. — Nie jest to zresztą odosobniony wypadek. Wiele plemion

45. Trędowaty zaś, któryby miał na sobie tę zarazę, szaty jego będą rozdarte, głowa jego będzie odkryta, i usta sobie zakryje, a wołać będzie: "Nieczysty, nieczysty jestem."

46. Po wszystkie dni, póki jest zaraza na nim, nieczystym będzie, bo nieczystym jest, sam będzie mieszkał; precz za obozem będzie mieszkanie jego. — Pięcioksiąg, 3, 13.

pierwotnych wyginęło na grypę lub gruźlicę dlatego, że po raz pierwszy stykały się z tymi chorobami i brak im było odporności. Znany natomiast fakty uodpornienia nabytego na skutek długotrwałych kontaktów z chorymi. W w. XIX żył w Norwegii niejaki dr Danielssen, zatrudniony w szpitalu dla trędowatych. Było to jeszcze przed odkryciem przez Hansena w r. 1874 prątka trądu. Otóż ów Danielssen wbił sobie w głowę, że trąd jest niezakaźny i żeby potwierdzić swoją teorię szczepił go sobie wielokrotnie, zawsze z wynikiem ujemnym.

Doktor Onildo zamilkł. Dopiero po chwili, tarmosząc wąsy, powiedział:

— Niektórzy lekarze sądzą, że BCG uodparnia na trąd. Osobiście nie wierzę w to wcale. Cóż to bowiem jest BCG? Zawiesina żywych prątków gruźlicy w roztworze fizjologicznym soli kuchennej. Prątki te są obdarzone t. zw. szczątkową zjadliwością, która nie jest w stanie wywołać choroby. Organizm człowieka, któremu zaszczepimy BCG, zaczyna wytwarzać przeciwciała i w ten sposób następuje uodpornienie na gruźlicę. Skąd tu trąd? Stąd, prawdopodobnie, że prątek trądu i prątek gruźlicy wykazują pokrewieństwo — należą do

tej samej rodziny. Ale to oczywiście bzdura. Prątki trądu wytwarzają przecież odmienny jad, niż prątki gruźlicy. Trzebaby wyhodować szczep bakterii trądu o szczątkowej zjadliwości i wyprodukować z nich szczepionkę. Taby może pomogła. Ale o ile wiem nikt jeszcze tego nie zrobił.

— Z tego wynika, że jedyny sposób uniknięcia zakażenia polega na razie na zachowaniu przepisów higieny i unikaniu większych zbiorowisk ludzkich.

— Tak, tak... — potwierdził z zadowoleniem doktor Onildo. — Bardzo trafnie pan to powiedział.

Rozmowa z doktorem Onildo nie wystarczyła mi. Chcąc zgłębić sprawę trądu do końca rozpocząłem wędrówkę po instytucjach zajmujących się tym zagadnieniem. Z jednej instytucji odsyłałem mnie do drugiej. W ten sposób obilem progi czterech wysokich instancji zanim trafiłem do gabinetu dr Murilo na Vila Mariana.

W gabinecie oprócz dr Murilo siedział jeszcze inny lekarz, bakteriolog, a na biurkach leżało mnóstwo szkiełek z pobraną ropą lub krwią do badania. Zwróciłem uwagę na jedno takie szkiełko rzucone na stół akurat przede mną. Widać na nim było trzy ciemne rozmazy.



W pełnym słońcu - Karpacz - Biały Jar.

PLAGA BIBLIJNA

(Dokończenie ze str. 3)

Zwyczajem brazylijskim wniesiono kawę i przyznam się, że w tym otoczeniu nieważko mi ją było pić.

Doktor Murilo, młody jeszcze, nieduży brunet o twarzy nieco chmurnej, a może tylko znużonej, popatrzył na mnie wy-czekująco.

Po kilkudniowym szperaniu w bibliotece byłem już trochę przygotowany do rozmowy.

Wiedziałem więc, że najstarszym źródłem zakażenia, znanym już 4 tys. lat p. Chr., był Egipt. Stamtąd trąd roz-szerzył się na całą Afrykę i Europę, a po odkryciu Ameryki i na ten konty-nent. Drugie źródło zakażenia stanowiły Indie, skąd trąd zaatakował Oceanie i Azję, sadząc się na dobre w Chinach. W Ameryce Południowej największe na-silenie trądu występuje w Gujanie i w Paragwaju. W tym ostatnim kraju na 1000 mieszkańców przypada 51 chorych. W Brazylii w r. 1948, zgodnie ze staty-styką urzędową, trąd był najbardziej rozpowszechniony na Północy w sta-nach: Amazonas, Acre i Pará, najmniej na Północnym Zachodzie w stanie Ba-hia i na dalekim Południu w Rio Gran-de do Sul. W tymże roku na obszarze całego państwa zarejestrowano 54.335 chorych.

Od tej cyfry rozpocząłem wywiad.

Dr. Murilo był wyraźnie zaambaraso-wany.

— Proszę pana, — powiedział — my nie mamy dokładnej statystyki trądu. Nie potrafię określić liczby chorych w całym kraju. Mogę natomiast podać, że w stanie São Paulo zarejestrowanych jest obecnie 23.000 chorych, a na każdego chorego przypada mniej więcej pięciu podejrzanych z jego otoczenia. Osoby z otoczenia chorego są obecnie badane ok-resowo co dwa, trzy miesiące. Uważa-my jednak, że mimo wszystko nie wszy-scy chorzy są zarejestrowani.

— Ale ilość świeżych zachorowań zmniejsza się?

— Odwrotnie zwiększa się z roku na rok. Przypisać to jednak należy uspra-wnieniu służby sanitarnej i zastosowa-niu nowych, doskonalszych metod pro-filaktycznych. Stan São Paulo w zakre-sie profilaktyki trądu znajduje się na pierwszym miejscu. Mamy pięć sanato-riów i 40 przychodni przeciwtrądowych. W ciągu najbliższych czterech lat utwo-rzymy dalszych 30 przychodni. Tymcza-sem w takim np. stanie Minas Gerais, w którym chorych jest znacznie więcej, niż u nas, istnieje tylko jedno sanato-rium. Jak powiadam, liczba zarejestro-wanych chorych pozostaje w ścisłym związku ze stanem organizacji służby sanitarnej. W tych warunkach wszelkie dane statystyczne są niepewne. Mogę tylko powiedzieć, że w przybliżeniu w stanie São Paulo na 1.000 mieszkańców przypada 2,5 chorych, a na Północy o-koło 10.

— Wolno wiedzieć jakie środki stosu-jecie panowie przy leczeniu trądu?

— Używamy przede wszystkim sulfo-namidy. Jest to lek bakterioostatyczny. Po trzech do sześciu miesiącach lecze-nia sulfonamidy doprowadzają w więk-szości wypadków do zahamowania roz-woju i cofania się infekcji, a po trzech latach powodują polepszenie stanu pra-wie u 100% pacjentów. Dajemy je też osobom słabo odpornym i wskutek tego skłonny do zakażenia — w celach za-pobiegawczych. Co do innych środków

m.i. antybiotyków to prowadzimy w ich dziedzinie eksperymenty i o skuteczności tych środków nie mogę jeszcze powie-dzieć nic pewnego.

— A czy zdarzają się wypadki zupeł-nego wyleczenia?

Doktor Murilo rozłożył ręce.

— Wielu naszych pacjentów popra-wia się w trakcie kuracji do tego stop-nia, że znikają wszelkie zewnętrzne ob-jawy choroby. Odsyłamy ich wtedy do domu. Nikt nie może jednak gwaran-tować, czy choroba ustąpiła całkowicie. Medycyna nie wypowiedziała tu jeszcze ostatniego słowa.

Straciłem nagle ochotę do zadawania dalszych pytań i pożegnałem się, nastro-jony raczej melancholijnie.

Sołtys Lawędziok

Sołtysa Lawędzioka nie znata? To jest bar-dzo dobry sołtys z głową. Już go trzy razy wybierała na sołtysa, jak tego Ajzencho-rego na prezydenta.

A już jak napisać zaświadczenie, to nic do-dać i nic odjąć.

Roz Janielcia Jędruszkowa chciała się do-słać do PGR do roboty. Powiedzieli: dobrze, robotę dostaniesz, ale musisz przedstawić zaś-wiadczenie o moralności. No to Janielcia po-leciała do sołtysa, żeby jej takie zaświadczenie wypisał.

Lawędziok poskrobił się w głowę, zawołał Pietrusia (do drugiego oddziału chodzi): — "Wydrzyj no Pietrusz kartkę z kajeta — na-pisemy zaświadczenie".

Sołtys poślinił ołówkę i pisał: "Jędruska Janielcia z moralnością nimo nic wspólnego, do ty roboty dobro".

☆

Albo znowu któryś zimy — chłoposki škol-ne zwiędziały się, że kuńskie włosia z łogu-nów bardzo się nadają na scotki i nawet do-brze za nie płacą. Tak dawej, zaceny obrzynać kuniom oguny. Potem się wszy-stko wydało, sołtys się o tym dowiedział i bardzo się znercował. Jak to może być, żeby dzieciaków uczył w szkole takich rzeczy. Wyr-woł kartkę z kajeta i pisał: "Do kierownika szkoły w Sokołowie. Zawiadamia się, że wase ucnie oberzły oguny i siedmiu gospodarzy" — Sołtys Lawędziok.

Potem jeszcze pod spodem dopisał: "Prose pociągnąć ich do odpowiedzialności za te oguny".

Przedruk z Tygodnika Kulturalnego.

Notatki z São Paulo

NOWY ZARZĄD KLUBU 44

Dnia 28 marca b. r. odbyło się Zwyczajne Ogólne Zgromadzenie Klubu 44. Zwracała uwagę obecność wielu kobiet, żon członków Klubu, które po raz pierwszy w historii Klubu mogły wziąć udział w głosowaniu.

Sprawozdanie ustępującego Zarządu przy-jęte zostało przez aklamację. Zebrani pod-kreślili w swoich przemówieniach przełom, który nastąpił w działalności kulturalnej Klubu dzięki wyteżonej, ofiarnej i pełnej in-wencji pracy ustępującego prezesa, Anto-niego Moszkowskiego.

Następnie poddano dyskusji i przyjęto również przez aklamację bilans za rok 1960.

W skład nowego Zarządu weszli: inż. Ja-nusz Niklewski, jako przewodniczący, dr. Antoni Moszkowski, jako I wice-prezes, Fe-likś Piotrowski, jako II wice-prezes, Wa-claw Tajtelbaum — sekretarz, Zygmunt Jaczewski — skarbnik, Ada Reichstein i arch. Wiktor Reiff.

Do Rady Nadzorczej powołano: Mieczysław Grabowskiego, Henryka Jonasa, Lud-wika Krotoszyńskiego, Stefana Neudinga, Jerzego Majmona, Janinę Pfeferową, Wło-dzimierza Scipio del Campo, Mirosława Sza-buniewicza, Erwina Wiczorka i Emila Ba-dera.

(sa)

WIECZÓR CZWARTKOWY

Dnia 2 marca b. r. odbył się w Klubie 44 kolejny wieczór czwartkowy poświęcony nie-codziennemu tematowi: "Walki Izraela na terenie polskim".

Prelegent Antoni Moszkowski opowiedział o nieznanym szerokiemu ogółowi przygo-towaniach wojennych Żydów przed drugą woj-ną światową. Okazuje się, że przy poparciu marszałka J. Piłsudskiego, a następnie mar-szałka Rydza Śmigłego tworzone były na obszarze Polski obozy wojskowe żydowskie, przygotowujące kadre dla przyszłej armii Izraela.

Odczyt ilustrowany był poezjami, które wygłosiła z wielką swadą Krystyna Ciesiel-ska.

(sa)

W kilku wierszach

Po raz pierwszy wprowadzono w Polsce program telewizyjny dla szkół. Pierwszą z cyklu szkolnego audycję przeznaczono dla uczniów VI i VII szkoły podstawowej. Pro-gram zatytułowano: Ze świata bajek. Obej-mował on wybór utworów Krasickiego, Trembeckiego i Fredry, których wykonanie powierzono wytrawnym aktorom.

Recytacje zilustrowano, wstawkami filmo-wymi oraz robionymi "na żywo" rysunkami Lengrena. W sumie audycja wypadła bardzo interesująco.

☆

Po raz pierwszy również, jak twierdzi pra-sa krajowa, pokazano naprawdę udaną o-peretkę polską: "Miss Polonia". Autorem li-bretta jest znany komediopisarz Jurandot. Muzykę napisał kompozytor Sart. Muzyka ta przez cały czas przyjemna, kpiarskim, sar-donicznym nastrojem wiernie towarzyszyła wszystkiemu co działo się na scenie. W kil-ku miejscach do głosu dochodziła piosenka, w której kompozytor największe dotychczas odnosił sukcesy.

Można na pewno wróżyć i to na długi czas estradowe powodzenie takim melodiom jak: "Ty jesteś taka ładna", "Szkoda, że niepogoda", "Serwus", czy wreszcie naj-piękniejsza ze wszystkich "każda miłość jest pierwsza..."

☆

Plan budownictwa mieszkaniowego rad narodowych w latach 1961 - 65 przewiduje oddanie do użytku 712 tys. izb (w ub. 5-latce oddano do użytku w tym dziale niespełna 480 tys. izb.).

☆

W Bagdadzie (Irak) otwarte zostało pol-skie biuro projektów. Pracują w nim inżynierowie polscy, w liczbie 15 oraz miejscowy personel kreślarski i administracyjny (dy-rektorem biura jest Polak).

Z miesiąca na miesiąc Biuro zyskuje na popularności i zdobywa coraz więcej zamówień, zwłaszcza z zakresu hydrotechniki.

Udany eksperyment skłania do rozważenia możliwości otwarcia tego rodzaju biur w in-nych państwach.

KRONIKA ZIEM ZACHODNICH

WIĘCEJ TABORU KOLEJOWEGO

Przemysł taboru kolejowego, który ma w Polsce duże tradycje wykona w 1961 r. zarówno dla potrzeb krajowych jak i eksportu m.in. 13 tys. wagonów towarowych, około 550 wagonów osobowych, 37 trójczłonów dla trakcji elektrycznej i spalinowej, 46 lokomotyw elektrycznych i 205 lokomotyw spalinowych normalnotorowych. W porównaniu z ub. r. globalna produkcja taboru kolejowego wzrośnie o 7,2%.

Polskie kolejnictwo przechodzi obecnie na trakcję elektryczną i spalinową. Ta tendencja znajduje swój wyraz w programach rozwoju przemysłu taboru kolejowego.

W realizacji tych planów poważny, bo blisko 50% udział mają fabryki taboru kolejowego, znajdującego się na ziemiach zachodnich. Na czoło wybijają się tu zadania stojące przed załogą wrocławskiej "Pafawag". Jest to największy zakład taboru kolejowego w Polsce a zarazem jeden z największych w Europie. Fabryka ta ma wykonać w ciągu 1961 r. różne pojazdy kolejowe ogólnej wartości blisko 1,5 mld zł.

"Pafawag" — to potężny ośrodek produkcji wagonów towarowych. W roku przyszłym zamiast wagonów-węglarek o pudle z drewna będzie się tu produkowało wagony-węglarki z pudłem metalowym, przez co osiągnie się poważne oszczędności drewna. Te nowe typy wagonów odznaczać się będą większą pojemnością i większą trwałością w eksploatacji.

Zarówno "Pafawag" we Wrocławiu, "Zastal" w Zielonej Górze jak i fabryki taboru kolejowego w Świdnicy i Elblągu, posiadają obecnie poważny potencjał produkcyjny, toteż nie przewiduje się ich rozbudowy. Jedynie w "Pafawagu", który ma za zadanie rozszerzenie produkcji trójczłonów i lokomotyw elektrycznych, dokonana będzie pewna rozbudowa obiektów i wyposażenie tego zakładu w nowe maszyny. (ZAP)



Opole - fragment miasta.

DLA TUROSZOWA I W TUROSZOWIE...

W fabryce kotłów w Raciborzu rozpoczęto budowę pierwszego wysokoprężnego kotła dla elektrowni w Turosszowie. Kocioł liczyć będzie 15 pięter wysokości, a jego podstawa — prawie 30 m. Dla przewiezienia całego agregatu, ważącego 6 tys. ton potrzeba będzie 600 wagonów kolejowych. Agregat ten przystosowany do węgla brunatnego będzie dwukrotnie większy od największych spośród zainstalowanych w polskich elektrowniach. Spalając w ciągu doby przeszło 4 pociągi węgla brunatnego, będzie on w stanie poruszać turbozespół o mocy 200 MW.

W kombinacie paliwowo-energetycznym w worku żytańskim pracuje już pełną parą kopalnia odkrywkowa węgla brunatnego, wy-

dobywanego przez olbrzymie maszyny-koparki, produkcji Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Większość wydobytego węgla jest przesyłana do pobliskiej elektrowni Hirschfelde w NRD. (ZAP)

NOWOCZESNE KOŚCIOŁY

Nowo wzniesiony kościół w Domecku koło Opola oraz we Władysławowie na Helu należą do najnowocześniejszych budowli sakralnych, wzniesionych w 1960 r. Kościół w Domecku — to świątynia o długości 42 m i szerokości 21 m, widna, przestrzenna i jasna o płaskim suficie, ozdobionym polichromią. W prezbiterium na podwyższeniu, pod szklaną kopułą znajduje się prosty ołtarz, przypominający stół znany z obrazów "Ostatniej wieczerzy".

Kościół we Władysławowie zaskakuje oryginalną formą, sprawiającą wrażenie monumentalności. (ZAP)

PIERWSZY POLSKI DRUKARZ — KASPER ELYAN Z GŁOGOWA

W 1475 roku (w 35 lat po wynalezieniu druku) ukazały się we Wrocławiu "Statuta synodalia episcoporum", w których otok łacińskich postanowień zamieszczono teksty najpopularniejszych modlitw w języku polskim, jak np. "Ojcze nasz". Anonimowy wydawca statutów długo nie był znany. Po żmudnych badaniach okazało się, że był nim Kasper Elyan, pochodzący z rodziny polskich rzemieślników z Głogowa, który po ukończeniu szkoły kościelnej w rodzinnym mieście został immatrykulowany w 1451 r. na uniwersytecie w Lipsku "de natione Polonorum", a po uzyskaniu stopnia bakałarza kontynuował studia w Krakowie.

"STANISŁAW" — NAJWYŻEJ POŁOŻONA KOPALNIA W POLSCE

— znajduje się w Górach Izerskich niedaleko Szklarskiej Poręby. Wydobywa się tu systemem odkrywkowym — kwarc. Kwarc ze "Stanisława" zalicza się do najlepszych w Polsce. Zasoby zbadanych już złóż oblicza się na ok. 16 mln ton. Dzienny urobek wynosi 120 ton.

Kwarc z kopalni "Stanisław" występuje w trzech rodzajach: hutniczy (odbierają hutny żelazo), polimericzny (zakłady materiałów ogniotrwałych w Gliwicach) i najlepszy gatunek, ceramiczny służy do wyrobu najdelikatniejszej porcelany w Cmielowie.

Zapotrzebowanie na kwarc jest duże, toteż prowadzi się na szeroką skalę rozbudowę kopalni i budowę sztolni w zamiarom podziemnego wydobywania kwarcu. (ZAP)

niach. Przedstawił on zebranym poszczególne punkty zawartego układu i uwypuklił różnice wynikające z niego w porównaniu ze stanem poprzednim. Zawarty układ zrównał obecnie w par. 1 narodowo prześladowanych z uprzywilejowanymi dotychczas kategoriami w zakresie wysokości odszkodowania. Adw. Chmielewski omówił też wyniki swych rozmów w Genewie i Londynie z reprezentantami Wysokiego Komisarza.

Wysoki Komisarz wydał w związku z powierzonym mu rozdziałem funduszu 45 milionów D-marek przepisy wykonawcze oraz specjalne formularze, które muszą być wypełnione w trzech egzemplarzach przez zainteresowanych. Zebrany wyjaśnił, że zarząd Związku uruchamia, za zwrotem drobnej opłaty manipulacyjnej, pomoc przy wypełnianiu tych formularzy w języku angielskim. Odrębna pomoc prawna nie jest potrzebna dla korzystających z pomocy Związku.

Odszkodowania dla b. kacetowców Polaków

Wydanie przepisów wykonawczych do układu z rządem NRF, jak i procedura rozdziału funduszu przeznaczonych na odszkodowanie w wysokości 45 milionów marek, były tematem konferencji, zwołanej przez Wysokiego Komisarza Zjednoczonych Narodów do Pałacu Narodów w Genewie w dniu 14 grudnia r. ub.

Całodziennym obradom przewodniczył zastępca Wysokiego Komisarza Pinegar, a sprawy przepisów wykonawczych referował z ramienia urzędu Wysokiego Komisarza szef wydziału prawnego dr Weiss. Stronę polską reprezentowali: prezes centralnego związku K. Odobny, dyrektor polsko-amerykańskiego Komitetu Imigracyjnego Rawski oraz adw. Chmielewski. Stanowisko i postulaty związków polskich i centralnej organizacji ofiar nazizmu — uchodźców, przedstawił adw. Chmielewski, poświęcając szczególną uwagę charakterowi funduszu. Związki kacetowskie stoją nadal na stanowisku odszkodowań dla wszystkich b. więźniów, a nie tylko dla ofiar, których sytuacja finansowa tego wymaga. Uzasadnienie tych postulatów poparte zostało przez innych uczestników konferencji i prawdopodobnie dojdzie do kompromisowego załatwienia.

Ogłoszenie przepisów wykonawczych dotyczących odszkodowania za zdrowie wydać ma rząd niemiecki w Bonn, który zamierza również przedstawić tekst zawartego układu z dn. 5 października 1960 r. do ratyfikacji Bundestagu.

W czasie konferencji wyjaśniono też, że b. kacetowcy-uchodźcy, którzy wrócili do kraju, będą mogli korzystać z układu, jeżeli byli uchodźcami w dniu 1 października 1953 r. Sprawy odszkodowań za zdrowie narodowo prześladowanych, znajdujące się w urzędach odszkodowawczych lub sądach NRF, będą przekazane do t.zw. BVA — Bundesverwaltungsamts w Kolonii. Dla spraw dystrybucji funduszu 45 milionów powołany zostanie przy Wysokim Komisarzu komitet doradczy z udziałem czterech przedstawicieli związku kacetowców i czterech reprezentantów agencji opieki nad uchodźcami. Wniezione sprawy rozpatrywane będą w pierwszej instancji przez Sekretariat przy Wysokim Komisarzu, w drugiej zaś — przez wydział apelacyjny, powołany przez Wysokiego Komisarza z udziałem jednego przedstawiciela związków i jednego reprezentanta agencji uchodźczych.

(EZN)

W dniu 26 lutego odbyło się w lokalu SPK w Londynie zebranie informacyjne Związku Kacetowców. Wzięło w nim udział około 150 b. więźniów i osób zainteresowanych. W zagajeniu prezes zarządu dr. St. Benedykt zresumował przebieg długotrwałej walki i podkreślił zasługi poprzednich zarządów, zwłaszcza od chwili scentralizowania akcji polskiej i ogólnouchodźczej. Przewodniczącą Komisji Prawniczej adw. M. Chmielewski referował obszernie układ o odszkodowa-

STRONICA CZYTELNIKA

Z moich przeżyć i obserwacji

JÓZEF GRABIAS

III.

Nadszedł okres kiedy zaczęło się w moim organizmie coś komplikować, rozstrajać. Traciłem na wadze. Poprzednio całkiem dobrze wytrzymywałem 15 godzin pracy dziennie; teraz mogłem pracować najwyżej 9-10 godzin. Poprzednio każdy pokarm wydawał mi się smaczny i nieszkodliwy, teraz wiele rzeczy mi szkodziło.

Postanowiłem wreszcie pójść do lekarza. W niedługim jednak czasie zerwałem z lekarzem nie dlatego, że nie widziałem natychmiastowego polepszenia, tylko dlatego, że mój starszy brat, który w początkach choroby miał takie same objawy i leczył się u kilku lekarzy w ciągu trzech i pół roku, zmarł, posiadając jeszcze tak silny organizm, że w ostatnim dniu życia przenosił się z miejsca na miejsce o własnych siłach.

Postanowiłem zaryzykować i sam poszukać przyczyn choroby.

Nie poszło mi to łatwo, głównie z tego powodu, że byłem w tym wypadku nowicjuszem. Jakkolwiek główne zasady higieny znałem na pamięć, z zakresu przyczynowości chorób wiedziałem sporo, anatomia i biologia nie były mi obce to jednak wszystko to była teoria.

Zacząłem więc badać przyczyny mojej choroby i długo, długo szukałem zanim wreszcie natrafiłem na jej trop.

Nie przeczę, że wiadomości teoretyczne ułatwiały mi zrozumienie wielu objawów, ale też nieraz okrywały jak mgłą dostarczenie rzeczywistej przyczyny. I nigdy jak teraz nie uwydatniła mi się tak głęboka różnica pomiędzy samą teorią i teorią skojarzoną z praktyką. Nie mogłem niczego wykryć dopóki nie nabrałem potrzebnej praktyki. Puszczając się czasem na próby dosyć ryzykowne (zawsze bez lekarstw). Niekiedy przychodziło zwątpienie. Trwałem jednak w raz powziętym postanowieniu.

W końcu udało mi się wykryć powody choroby i rozpoczął się odwrót objawów, bardzo zresztą powolny. Można to porównać do zabrnienia w bagno: trzeba tyleż wysiłków i czasu, aby wydobyć się z niego. Zwalczyłem chorobę, ale długo jeszcze trwało osłabienie. Organizm zwolna wracał do normy i dawniejszej wytrzymałości.

Nie opisuję na razie ani samej choroby, ani podjętych przeze mnie prób jej leczenia, trzeba by na to zmarnować dużo papieru i atramentu. W późniejszym czasie nie chorowałem już poważnie. Raz tylko, jak się zdaje, wdepnąłem w początek cukrzycy (wilczy apetyt i szalone pragnienie), ale mając już nieco praktyki wyleczyłem się z niej bez użycia lekarstw.

Zacząłem też pewnego razu odczuwać kłopoty z pęcherzem. Nie przejmowałem się tym; myślałem sobie — przejdzie.

Ale po roku dolegliwości zwiększyły się: musiałem oddawać mocę co pół godziny. Odczuwałem pieczenie w cewce moczowej. Niekiedy tak ją zaciskało, że z trudem oddawałem mocę.

Udałem się wreszcie do jednego bodaj z najlepszych lekarzy w Kurytybie. Kazał przeprowadzić analizę moczu, płukanie pęcherza, dał pigułki, a coś tam z zastrzyków też mi się dostało.

Chodziłem do niego z półtora miesiąca po dwa razy w tygodniu. Chwilami łudziłem się, że mi lepiej. W końcu widząc, że to daremna strata czasu i pieniędzy zrezygnowałem z lekarza i sam zacząłem doszukiwać się przyczyn choroby.

Przyszło mi do głowy (wiedziałem o tym z książek), że cukier przemienia się w organizmie na kwasy. A nuż te kwasy drażnią pęcherz? Już poprzednio próbowałem obywać się bez cukru i słodczy, ale były to próby jedno lub dwudniowe. Tym razem postanowiłem wytrwać dłużej. Dopiero po tygodniu odczułem złagodzenie kłopotów z pęcherzem, a po miesiącu było już prawie całkiem dobrze. Zawsze przypuszczałem, że cukier jest zdrowy, nieszkodliwy, lekkostrawny. Nigdy bym nie uwierzył, że może być inaczej, gdyby nie własne doświadczenie.

Później używałem i używam cukru, ale w mniejszych dawkach. Jednorazowe użycie większej ilości cukru nie oddziałuje na mnie ujemnie. Gdy jednak przez kilka dni z rzędu spożywam go więcej cierpienia pojawiają się znowu.

Przeżycia chorobowe i natężone doszukiwanie się ich przyczyn trwały blisko dziesięć lat.

W końcowym etapie tego okresu, gdy powróciło mi już zdrowie, mogłem poświęcić więcej uwagi na zagadnienia społeczne, warunki życia, wpływ ich na psychikę człowieka itd. Zagadnienia te bardzo mnie zaabsorbowały. Przeprowadziłem w związku z nimi pewne doświadczenia. Spostrzegłem już wówczas wielką rozbieżność pomiędzy pięknymi hasłami postępu, a praktycznym ich wykonaniem.

Przytoczę tu parę przykładów.

Pewnego dnia zajechałem przed kuźnię — była zamknięta. A że miałem interes do kowala poszedłem go szukać. Znalazłem go po chwili — wykładał chodnik od mieszkania do kuźni.

Zapytałem, czy mu zabrakło roboty w kuźni.

— Roboty mam aż za dużo — odparł — ale muszę i to w dopadki zrobić. Gdy zapytałem rzemieślnika ile za tę pracę weźmie, zażądał 150 kruczejrów od metra za samą robociznę, a że może wyłożyć do 15 metrów dziennie zarobiłby do dwóch tysięcy. Ja w kuźni ani połowy tego nie zarobię.

Podobnie mówią ci, którzy mają jakiś remont mieszkania albo malowanie.

Jeżdżąc po mieście mam okazję być w wielu domach. Zauważyłem, że w mieszkaniach, w których dawniej trzymano służące same gosposie krzątają się koło zajęć domowych.

Gdy pytam o powód słyszę zawsze jedną i tę samą odpowiedź:

— Nie ma teraz żadnej pocziwej służącej; jeżeli nie okradnie to więcej z nią kłopotu, niż pożytku, a wymagania coraz większe.

Jest to objaw powszechny i przybierający na sile: jak najmniej pracować, a jak najwięcej brać.

Weźmy z kolei nieco inny przykład.

Pewnej niedzieli nad domkiem słabo zarabiającego robotnika zaczynają wylać z hukiem rakiety. Z chałupy dolatuje szum, gwar. Biba na całą parę. Dowiaduję się, że nie jest to ani wesele, ani chrzciny — ot, jakaś drobna okazja.

W kilka dni potem przychodzi do mnie właściciel tego domu, prosząc o pożyczkę pieniędzy. Dziecko zachorowało, trzeba z nim iść do lekarza.

Zazwyczaj sypiam w nocy jak susel. Zdarzy się jednak, że nie mogę zasnąć, ponieważ kiedy się tylko zmierzchnię z obejścia naprzeciwko wylatują z szumem rakiety. Dom ten jest własnością człowieka, który pracuje w mieście i dobrze zarabia.

Wkrótce zjeżdżają się samochodami goście. Stają szeregiem. Rakiety grzmocą dalej. Pojawiają się różnokolorowe ognie bengalskie. Hałas, krzyki, muzyka. Trwa to do czwartej nad ranem. Wreszcie energia wyczerpana, goście żegnają się. Tak nasz sąsiad obchodzi imieniny. Same rakiety i ognie bengalskie kosztowały go, skromnie licząc, 15 tysięcy.

Nieróbstwo, połączone z pragnieniem łatwych zarobków, i związane z użyciem lekkomyślne puszczanie pieniędzy — są zaraźliwe. Im łatwiej przychodzą pieniądze tym łatwiej się je wydaje.

Zdawało by się, że dobrego przykładu, umiejętności życia można by oczekiwać od ludzi, którzy lata spędzili w szkole, ukończyli wyższe studia. Jednak tak nie jest poza nielicznymi wyjątkami.

Dlaczego tak się dzieje? Sądzę, że jednym z powodów jest to, że szkoły przekarmiając teorią za mało dają praktyki. Poza tym postęp, wymagając specjalizacji, zacieśnia światopogląd. I wreszcie, ludziom brak właściwych przeżyć wewnętrznych. Jeżeli przeżywają coś to związane to jest z karierą, bogaceniem się lub wygodami życiowymi. Przy tego rodzaju jednostronnych doznaniach człowiek nie umie i nie może pojąć sensu życia.

(D.c.n.)

EPIGRAM DLA EMILIO MOURA

CARLOS DRUMMOND de ANDRADE.

Przykro patrzeć na zmierzch, co zapada,
niby spadający liść.
(W Brazylii nie ma jesieni
ale liście opadają.)

Przykro kupować pocatunek,
jak kupuje się gazetę.
Kochający bez serca
nie dostąpią królestwa niebios.

Przykro chować w tajemnicy
to, co wszyscy wiedzą
i nie mówić nikomu,
(że to życie nic nie warte).

(Tłum. M. L. S.)

MOJE PRZYGODY W BRAZYLI

STEFAN POCHWATKA

III.

Po gorzkich doświadczeniach, że w interiorze bez pieniędzy nie da się nic osiągnąć i o zarobek trudno, powziąłem zamiar powrotu do miasta.

W latach 1930 i późniejszych przybywało z Polski wielu emigrantów, ludzi samotnych, których nie nęciło osadnictwo na roli. Szukali pracy w fabrykach. Napotykali tam na dużą konkurencję, gdyż i w miastach nie brakło poszukujących pracy. Jedynym może miejscem, gdzie można było mieć nadzieję na zarobek było Rio Grande, miasto położone w stanie Rio Grande do Sul. Znajdowała się tam nad morzem wielka rzeźnia Towarzystwa Swift do Brasil, zaopatrzona w obszerne chłodnie.

Do pracy w chłodniach najlepiej nadawali się Europejczycy. Brazylijanie bali się zimna, Polakom natomiast, Ukraińcom i Litwinom w to graj, garnęli się z ochotą do mrozu, lodu i śniegu. Parskali tylko jak konie i zabijali ręce.

W każdym razie i oni musieli się ciepło ubierać i uwijać się dobrze w czasie roboty, żeby nie zmarznąć na kość jak to mięso wołowe.

W styczniu zaczynała się *matança*, czyli ubój bydła. Codziennie od samego rana zbierała się przed bramą rzeźni gromada bezrobotnych. Kto by tam poznał w tym tłumie który był Polak, Włoch, Hiszpan czy Litwin. Ludzi do pracy wybierał pod bramą kierownik chłodni, czyli jak się tu mówiło szef *camara fria*. Towarzyszył mu *capataz* Gregory.

Gregory był podobno dawniej oficerem kozackim w armii carskiej. Wysoki, kościsty, o wielkim nochalu, miał groźny i straszny wyraz twarzy, gdy patrzył się na człowieka. Niektórzy bojaźliwi, gdy poczuli na sobie ten świ-drujący wzrok, woleli usuwać się Gregoremu z drogi.

— **Chcesz rabota?** — pytał ostro Gregory, kiedy któryś z wybrańców przysunął się bliżej.

Robotnik kiwał głową, że owszem pracować chciałby.

— **Nu, tak idi w kantor!**

Nazajutrz Gregory zjawiał się w chłodni i omiatał srogim wzrokiem podwładnych.

— **Nu, bratcy,** — krzyczał gromkim głosem — **szewielis!**

Dopiero zaczynała się zabawa.

Przyskakiwał do robotników, którzy nie wiedzieli co robić.

— **Czto ty, rabotat' nie chcesz? Da ty animajesz? Jeśli nie budiesz rabotat' w tiurmu popadiesz!**

Ludzie kręcili się tu i tam, nie wie-

dzieli za co się najpierw złapać. Gregory ogarniała furia. Przekręcał czapkę daszkiem na prawe ucho, straszliwy grymas wykrzywił mu twarz, biegał jak szalony po sali. Nagle wyrwał nóż zza pasa i podbiegał do jednego z robotników.

— **Ty, Bronek, bieri etot noż. Budiesz riezat' mięso.**

Potem wciskał drugiemu robotnikowi młotek.

— **A ty, Dominik, bieri młotok. Budiesz wbiwat' kriuki (haki).**

I tak po kolei dawał zlecenia wszystkim pracownikom. Powoli zaczynała się robota. Taką już Gregory miał metodę: nakrzyczeć ile się da to praca będzie szła raźniej. Najgorzej było bojaźliwym — ci nie chodzili tylko biegali.

Ja podlegałem innemu nadzorcy. Był Ormianinem, wszyscy wołali na niego Armenio, nie wiem nawet jak się nazywał. Zawsze ponury, lypał na ludzi spode ręki i warczał o byle co. Należał do tego typu pracowników, którzy łaszają się i podlizują zwierzchnikom, a tyranami są dla robotników. Trzeba było być nieczułym i głuchym na grubiańskie wyzwiska.

Brygada Armenia pracowała w najzimniejszych chłodniach. Nazywała się *turma de embargo*. Stąd szło twarde, zamrożone na kamień mięso do stojących w porcie okrętów. Mięso, które nie szło bezpośrednio do załadunku, układało się w chłodni w wysokie na cztery metry stosy. Tylko ludzie zdrowi i silni mogli dać radę tej robocie.

Był tam z nami jeden Polak, już w podeszłym wieku, szewc z zawodu. Ten, gdy słyszał narzekania na ciężką pracę, powiadał flegmatycznie:

— Przyzwyczaił się i będziesz chodził jak wół w kieracie.

Czasami brakło na kilka dni roboty w chłodni. Nasi nadzorcy, troszcząc się o nas, żebyśmy napróżno nie siedzieli w domach albo nie wałęsali się bez celu po mieście, wysyłali nas do pracy przy skórach. To ci dopiero robota! Do dziś ciarki biegają mi po grzbiecie, kiedy ją sobie przypominę.

Zaczynało się zupełnie normalnie. Nadzorca prowadził nas łaskawie do wielkiego stosu nasolonych i wyschniętych skór i mówił, że trzeba te skóry wytrzeć z soli. Jeden i drugi robotnik spoglądał niepewnym wzrokiem na skóry. No, ale jak prawil nadzorca — to nie zbytki tylko praca. Więc jeden łapał skórę za dwie przednie łapy, drugi — za tylne i bach, bach! o stołek jedną stroną, potem to samo — odwrotną stroną i siup! otrzebaną skórę na kupę. I tak z całej siły cały dzień. Sól powy-

żerała dziury w dłoniach i porobiły się od tego rany.

Było bardzo przyjemnie, gdy nadchodził wieczór i powoli, z powagą przy-człapało się jakoś do domu. Po kolacji wcale mi się nie chciało iść na spacer na miasto. Z biogim uczuciem kładłem się do łóżka. Leżałem spokojnie, nie poruszając się. A przed oczami przesuwwały mi się stosy skór.

Gregory i Armenio pożyczali sobie czasem ludzi, gdy któremu zabrakło robotników. Podobny zaszczyt spotkał i mnie. Pewnego dnia Armenio kazał mi pójść do Gregorygo i pomóc mu w pracy.

Było tam dość wesoło. U sufitu olbrzymich sal przymocowane były podłużne żelazne szyny. Po szynach tych przesuwwały się połówki wołów zawieszona na hakach z kółkami. Przenosiło się je z jednej chłodni do drugiej.

Każdy robotnik brał sześć połówek i pchał przed sobą. Czasem kółko było zardzewiałe i nie chciało się obracać, a kolega z tyłu napierał i krzyczał:

— **Paganiaj!**

Zdrowi i mocni dawali sobie jakoś radę, ale słabszym mimo zimna pot spływał po ciele.

Zdarzało się, że kółko wyskoczyło z szyny. Wtedy połówki wołów z brzękiem żelaznych sztab spadały na brudny cement. Przybiegał Gregory. Z wściekłości nie mógł z siebie wydobyć głosu. Nagle zrywał czapkę z głowy i trzaskał nią o ziemię. Potem kładł ją z powrotem na łepetynę i biegał w kółko jak szalony. Wreszcie wyprostowywał się i krzyczał, jak do ataku:

— **Szewielis! Biegom!**

W mgnieniu oka nadjeżdżała drabina na kółkach i po kilku minutach mięso wisielo na hakach. I jazda dalej do roboty, na złamanie karku, na łeb na szyję!

Wziąłem i ja kiedyś swoje sześć kawałków i rozpedziłem je po szynach. Na skrócie nie wiem dlaczego jeden z kawałków otworzył przekładnię. I sześć połówek upadło na mnie, a hak z kółkiem wagi pięciu kilogramów z rozmachem trzasnął mnie w głowę.

Nie poczułem żadnego bólu i nie wiedziałem co się ze mną stało. Kiedy się ocknałem spostrzegłem, że kilku robotników niesie mnie na rękach. Chociaż nosiłem watowaną czapkę hak rozbił mi porządnie głowę. Rana była długości pięciu centymetrów. Mało brakowało, a byłbym osiągnął nadziemskie życie.

I byłbym szczęśliwy.

(C. d. n.)

Krakowskie kolorowe pończochy

HANNA ABLEWICZ

Znamy ich wszyscy doskonale. Ona — roczochrana głowa, usta umalowane w serdusko, albo blade o kształcie naturalnym, ubrana w budrysówkę z kraciastego koca, na nogach obowiązkowo kolorowe pończochy. On — stroniący od żyletki, zza kilku warstw sweterków kokietyjnie wystający brudny kołnierzyk od koszuli, spodnie — rurki i na nogach miękkie buciki. Świetnie pamiętamy poszczególne stadia rozwoju mody u tej ekscentrycznej młodzieży lubiącej "piwnice" i "stodoly". Nie orientując się, jak bardzo się mylimy, niejednokrotnie miotaliśmy gromy na ich niechlujne głowy. Byli dla nas synonimem nowoczesności w cudzysłowie, utożsamialiśmy ich z chuliganami, przypisywali im czyny najgorsze, czekaliśmy na interwencję władz.

Nie protestowali. Nie pozwolono im wyjaśnić zbirowo, czemu są tacy, a nie inni. Nie brano poważnie ich wypowiedzi. Stanowili, odkąd pamiętam, tę najgorszą część młodzieży. Wyśmiewano się z ich zachwyty dla kolorów i oryginalności. Nie wiadomo było, ile mają lat, umyślnie się postarzali, umyślnie się zgrzywali, umyślnie gwizdali sobie na zdenerwowanie starszych. W szkole wlepiano im dwójce, grożono wydaleniem, wzywano rodziców.

Kraków w sposób specjalny podszedł do ich cynizmu. Wiadomo, miasto cieszące się od stuleci wspaniałą tradycją, miasto Wawelu, naukowców i powagi, miasto historycznej godności, wesółych, lecz uczących się żaków, nie mogło tolerować lenistwa i w ogóle czegoś takiego. Starzy emeryci z Plant spoglądali z oburzeniem i lękiem na hałasujących wyrostków i wymalowane panny z teczkami i siatkami, w których dyndały kosmetyczki i jeden zeszyt.

Utarła się w Krakowie opinia, że ci roczochrani i beztroscy nie myją się i nie uczą, że kradną rodzicom pieniądze, że są zbłązani i przemadzali, że nie liczą się ze zdaniem mądrych i doświadczonych. Włóczyli się gromadnie po Plantach i ulicach, sezonowo okupowali jakieś podje kawiarenki i knajpki...

Wiele się nasłuchiwałam i naczytałam o ich konfliktach z rodziną, z tradycją i obyczajowością. Wszyscy kiwali z ubolewaniem głowami, łałami ręce, domyślali się tragicznej przyszłości społeczeństwa, które stanowić mają ci brudni, niemoralni, niedouczeni.

— Proszę pani. W chacie stoją żelazne łóżka nakryte koronkową kapą. Mówię mamie, że to paskudne, żeby kupić najtańsze koce, żeby powyrzucać makatki z baletnicami i jeleniami. A mama od razu na mnie z buzią, że ona rządzi w domu, że dość ma przeze mnie wstydu i zmartwień. I o tych pończochach, i o wąskiej spódnicy, i o cynglu z matmy, i o tym, że chodzę za pudeł. Mówię jej, żeby mi dała farsy na nylony. Nie da mi, bo sama nie ma. Tato pije jak szewc, robi grandę w chałupie, w budzie też patrzy na mnie jak na chuliganke. To ja mam tego dość. Idę z kumplami do kina, oglądam dwie godziny ładne mieszkania, dąsingi i miłość. A potem łązimy po ulicach i wydaje nam się, że my też, że też żyjemy tak bogato i ładnie.

— Ale przecież wiecie, że nie można na zawołanie być człowiekiem dojrzałym i dobrze zarabiającym. Ci dorośli też kiedyś byli zmuszeni słuchać rodziców. A wy nawet się nie uczycie — wtrącam. — Wy się nie chcecie uczyć — dodaje.

Dziewczyna macha ręką. — To bujda — mówię. — Wystarczyło, że zlałam z fizyki. Belferka zauważyła, że mam krótką spódnicę i kolorowe nogi i od razu granda, że mi moda w głowie, a nie nauka. To nie prawda, proszę pani. Ja jestem młoda, ja mam prawo być modna, ja nie potrafię być tylko uczennicą. Dawniej nic się nie działo, to dziewczuchy mogły nosić mundurki i wkuwać matemę. A teraz... To jest niesprawiedliwe.

Przedruk z Życia Warszawy

O ODSZKODOWANIA BYŁYCH KACETOWCÓW

(Dokończenie ze str. 5)

Bardziej skomplikowana i wymagająca przygotowania szeregu affidawitów, zaświadczeń itp. jest droga dochodzenia odszkodowań przed federalnym urzędem administracyjnym w Kolonii za szkody na zdrowiu, zmniejszające zdolność zarobkową. Wymaga to współudziału adwokata, obeznanego z tym zagadnieniem i procedurą.

* * *

Jak informują z kół urzędowych w Bonn, rozporządzenia wykonawcze do układu w części "za szkody na zdrowiu i ciele" wydane być mają w najbliższym czasie. Aktualna jest również ratyfikacja tego układu przez parlament jako umowy dwustronnej rządu NRF z Wysokim Komisarzem Z. N. Ten ostatni ogłosił ma obecnie skład komitetu doradczego i odwoławczego, które powołane będą do życia przy sekretariacie jego urzędu, dla dystrybucji funduszu odszkodowawczego. W skład obu komitetów wejdą również przedstawiciele uchodźczych organizacji kacetowskich.

Całokształt zagadnień wynikających z układu październikowego był również tematem konferencji, zwołanej przez reprezentanta Wysokiego Komisarza w Londynie w związku z przyjazdem szefa wydziału prawnego z Genewy dr. Weissa. W konferencji tej, w której wzięli udział dwaj obserwatorzy urzędniczy Foreign Office oraz reprezentanci brytyjskich organizacji i agencji pomocy — związki polskie i uchodźcze reprezentował adw. Chmielewski. (E.Z.N.).

Czytelnicy piszą...

☆ ANNA WIELEWICKA, Arapongas, Caixa Postal, 593 — Norte do Paraná, pragnie korespondować z rodakami z São Paulo.

☆ WIESŁAWA SZALENCZYK, ul. Łomianańska 19 m. 5, Warszawa 32 chciałaby bardzo korespondować z rodakami zamieszkającymi w Brazylii. P. Szaleńczyk pisze: "...Interesuje mnie życie Polaków w Brazylii; ten kraj jest tak piękny i ciekawy, a tak mało znany u nas. Chciałabym, żeby Polacy pisali mi o swojej Ojczyźnie i o sobie. Pragnęłabym dostać od czasu do czasu wido-kówki miasta, w którym mieszkają. Jestem młoda, mam 23 lata, jestem warszawianką. Interesuje mnie wszystko co się na świecie dzieje. Brazylia szczególnie jest dla mnie egzotyczna i dlatego z wielką niecierpliwością będę czekała na listy nowych przyjaciół polskich. Jestem uczennicą Szkoły Muzycznej, uczę się śpiewu, a także pracuję w Operze Warszawskiej w chórze. Lubię muzykę, śpiew, podróże, tańce, książki. Nie mam dużo czasu, ale chętnie na każdy list z dalekiej Brazylii odpiszę i chętnie wyślę wido-kówki lub pisma polskie. Mieszkam tylko z mamą, nie mam rodzeństwa i dlatego chciałabym bardzo znaleźć nowych przyjaciół w Brazylii".

☆ BOGUSŁAW MŁAK, ul. Kiełbańska 12 m. 1, Wrocław 9 pisze: "...Jestem uczniem Technikum Przemysłu Spożywczego we Wrocławiu. Każdy uczeń ma swoje hobby. Ja np. zbieram wido-kówki i znaczki pocztowe. Może się znajdzie w Brazylii jakiś chłopiec polski od 14 do 19 lat. Chciałbym koniecznie z nim korespondować. Ja mieszkam we Wrocławiu, bardzo dużym i ładnym mieście (430 tys. mieszkańców). Wrocław był bardzo zniszczony ale już został częściowo odbudowany."

☆ STARSZY PAN, b. nauczyciel, wdowiec, posiadający niewielką gotówkę, pragnie wstąpić w związek małżeński z wdową lub starszą panną. Oferty należy kierować do Administracji "Przeglądu Polskiego" pod: Kataryńczyk.

PROSIMY O ODNOWIENIE

PRENUMERATY NA ROK

1961

COMERCIAL POLPARANÁ S.A.

IMPORTAÇÃO — EXPORTAÇÃO — REPRESENTAÇÕES

TRATORES DE ESTEIRAS - TRATORES DE PNEUS - IMPLEMENTOS AGRÍCOLAS - COLHEDEIRAS - CARRETAS - MAQUINARIA PARA TERRAPLANAGEM E EQUIPAMENTOS CONGÊNERES - ESCAVADEIRAS - ARAMES-GRAMPOS - MÁQUINAS OPERATRIZES - MATERIAIS ELÉTRICOS - CENTRAIS TELEFÔNICAS - EQUIPAMENTOS CIRÚRGICOS - APARELHOS CIENTÍFICOS PARA LABORATÓRIOS - MOTORES ESTACIONÁRIOS - MAQUINARIAS E EQUIPAMENTOS P/ INDÚSTRIAS - BEBIDAS E COMPOTAS ESTRANGEIRAS.

ALAMEDA CARLOS DE CARVALHO, 356/360 - FONE: 4-1574

CURITIBA — PARANÁ — BRASIL

Działo się to nie w Pańskim, ale w hitlerowskim roku 1940, "quelque part en France" w jednostce X.

Nazw nie wymieniam. W owym czasie, w latach 39-ym i 40-ym, wymienianie nazw formacji, miejscowości i ludzi stanowiło tajemnicę wojskową. Wszystko było tak zakamuflowane, że nikt nie mógł i nie miał prawa rozeznaczyć się w czymkolwiek, prócz Niemców.

Dziś może również lepiej zostawić zakodowaną tę część dziejów W. P. i bez nazwisk, jako, że dużej chwały nam nie przynosi.

Był czerwiec. Upalny, pachnący jaśminami i skoszonym sianem, rozśpiewany ptactwem, terkotaniem koników polnych, wieczorami — rechotem żab.

Zakątek nasz znajdował się daleko od wojny, aż wreszcie pewnego dnia doszedł i tu przygłuszony pomruk działań. Huk ten potęgował z upływem czasu, a z nim dolatywały zaczęły do Bretanii odgłosy klęski przebijające z fałszywych, bombastycznych komunikatów wojennych, z wyznania wiary premiera Reynaud w cud, który miał ocalić Francję i z innych znaków na niebie i ziemi.

Dezerterzy z frontu śpiewali w kościołach: "Sauvez, sauvez la France", ludzie szukali szpiegów, przeklinali Brytyjczyków, pili zwiększone ilości cidru i pocieszali się wzajemnie: "Quand même — ils ne sont pas peut-être trop mauvais".

Dywizja polska organizowała się jednak i mobilizowała jak by nie działało się nic. Francuski biurokracizm wojskowy, przesłany przez sito słynnej Reginy, święcił niebawem tryumfy przy braku jakiegokolwiek konkretnych rozkazów, jakiegokolwiek planowania, przewidywania i przygotowania.

Parachutiste

Może to zresztą i lepiej, że tak właśnie było i że dywizja nie osiągnęła nigdy gotowości bojowej i nie zdążyła zaznać w ten sposób wątpliwego zaszczytu obrony Trzeciej Republiki i rozsiania na jej polach kilkuset lub kilku tysięcy kościotrupów polskich, których jej własni synowie nie chcieli ofiarować.

Opatrzność widać czuwała nad nią. A że dziwne i niezbadane są drogi opatrności, więc aby ocalić tym razem dwanaście, czy czternaście tysięcy istnień ludzkich postawiła na ich czele dowództwo, które wierzyło w geniusz generałów i polityków francuskich i konsekwentnie kultywowało bezhołowie.

Sztab tego dowództwa składał się z dowódcy dywizji, szefa sztabu, dowódcy piechoty dywizyjnej i 14 oficerów dyplomowanych w randze od porucznika do majora. Razem 17 oficerów dyplomowanych.

Wielu mądrych ludzi usiłowało opisać sztukę dowodzenia. Wszystkie aspekty tego zagadnienia zgłębiono dawno i uznano zgodnie, że czynnik tajemnicy i zaskoczenia jest jednym z podstaw zwycięstwa nad nieprzyjacielem. Nikt jednak nie próbował prawdopodobnie rozważyć jaką rolę odgrywa ten czynnik nie w stosunku do nieprzyjaciela lecz do własnych oddziałów, wykonawców i współpracowników dowódcy.

Sztukę tę jednak odkryto i w pełni zastosowano, gdy chodzi o czynności dowodzenia i pracę sztabu dywizji X. Została tam doprowadzona do perfekcji.

W dywizji X nikt nigdy nic nie wiedział. Pracowało się w ciemno nie wiedząc poco i dlaczego coś się przygotowywało lub wykonywało, jaka jest sytuacja ogólna i czego właściwie dowódca chce. Głęboka zasłona tajemniczości wisiała nad nami jak mgła.

Huk działań dochodził z oddali. Zamyślony dowódca dywizji przechadzał się w sadzie, naradzał półgłosem z dowódcą piechoty dywizyjnej, po czym zamykał się w gabinecie i

wzywał szefa sztabu. Szef sztabu wzywał z kolei oficera operacyjnego, informacyjnego, kwatermistrza i z groźną miną mówił zza biurka:

— Opracować rozkazy przygotowawcze do marszu dywizji.

— W jakim kierunku? — pytał oficer operacyjny.

— To tajemnica. We wszystkie strony świata.

Przysięgam, że to nie błaża, że taki rozkaz został wydany i że w ciągu trzech tygodni opracowywał ten absurd oficer operacyjny ze swoimi pomocnikami. Kiedy jednak wreszcie dywizja wyruszyła żaden z rozkazów nie był użyty. Ten akurat wariant, jedyny rzeczywiście realny, nie został właściwie rozpracowany.

Pewnego dnia otrzymałem równie niedorzeczny rozkaz. Brzmiał on następująco:

Panie Majorze,

Proszę przekalkulować czas potrzebny na przewiezienie istniejącymi środkami transportowymi całego sprzętu i wyekwipowania dywizji z obecnego miejsca postoju do stacji kolejowej G

w trybie zwyczajnym,

w alarmie.

I żadnych bliższych informacji, żadnej wiadomości dodatkowej. Pytam więc o wyjaśnienia i na co to ma służyć. Otrzymuję w odpowiedzi:

— Nie pańska rzecz. Proszę się pospieszyć. Pilne. Rozkaz!

Wylczyłem a jakże! Przez tydzień ważyłem po kolei: koszule żołnierskie, koce, buty, menażki, onuce, stojaki do karabinów, stoły, kotły kuchenne, skrzynie z aktami, amunicję ostrą i ćwiczebną i setki innych artykułów wyposażenia i ekwipunku wojskowego.

W ciągu drugiego tygodnia dodawałem, mnożyłem i dzieliłem, aby przekonać się, że waga sprzętu dywizji do przewiezienia wynosi około półtora miliona kilogramów. Zważywszy, że wozów w dywizji było 150 o ładowności w przybliżeniu 500 kg. przewiezienie sprzętu od miejsc zakwaterowania do stacji kolejowej odległej o 24 km zajęło by mniej więcej siedem miesięcy.

Siedem miesięcy — dosłownie! Taki raport złożyłem. Po tym raporcie zapanował w dywizji pewien pesymizm co do naszych zdolności ruchu. I tak jak żaden z rozkazów

STANISŁAW KOSZUTSKI

przygotowawczych do marszu nie trafił w szymel rzeczywistości, tak i moje obliczenia nie wpłynęły na los sprzętu dywizji. Nigdy nie został przewieziony do żadnej stacji kolejowej; wszystkie stoły, kotły, łóżka i koce wpadły w ręce niemieckie. Ja się za to nauczyłem logarytmów.

Rozkazy wydawane były przeważnie po triewogie na wzór armii sowieckiej. W dzień większość sztabu spała błogo w sadzie, nie mając nic do roboty. Za to noce obfitowały w decyzje i wypadki. W nocy posyłano gońców i ściągano oficerów z wygodnego francuskiego łóża, aby o coś zapytać lub zaprząć do pracy na kilka godzin. W dzień mogli to przecież odespać.

Zdarzyło się, że właśnie w nocy obudził mnie gońiec z rozkazem natychmiastowego zameldowania się u szefa sztabu.

— Pan pułkownik powiedział, że tylko na chwilę i że nie trzeba, żeby się pan major ubierał — wyjaśnił inteligentny szeregowy.

Godzina była późna, ja zaś rozespany, a że noc okrutnie parna spałem jak nowonarodzony, nie mając nic na sobie.

Do dowództwa dywizji było około kilometra i musiało się przejść przez całe niemal miasteczko. Licząc jednak na ciemność i późną godzinę i nie mając ochoty ubierać się skorzystałem z zezwolenia i postanowiłem udać się do sztabu w negliżu. Narzuciłem na gołe ciało płaszcz przeciwdeszczowy, na nogi włożyłem nocne pantofle i wciąż jeszcze rozespany wyszedłem z gońcem na ulicę.

48

Zanim jednak dobrnęliśmy do centrum miasteczka księżyc wychylił się zza chmur. Zrobiło się naraz tak widno, że można było czytać na dworze książkę. A w dodatku na ulicy znajdowało się jeszcze sporo ludzi. Nie mogłem już jednak zawrócić. Goniec tak dobitnie zaakcentował wyraz **na tychmiast** w rozkazie, że po raz pierwszy uwierzyłem, iż dzieje się coś naprawdę ważnego.

Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi — mówi przysłowie, co ma oznaczać, że nawet najlepsze intencje i zamierzenia napotykają na poważne opory w realizacji i często zostają spacone lub nie wykonane na skutek nieprzewidzianych wypadków.

Istnieje nawet na to specjalne określenie wojskowe: "tarcia sztabowe" — tak się to zdaje się nazywa, gdy np. świetnie obliczony plan załamał się z powodu nie dostarczenia rozkazu na czas, ponieważ dajmy na to całkiem niekalkulacyjnie motocyklista wiozący ów wspaniały rozkaz dostał nagle i czwoliwienia...

Coś podobnego stało się ze mną.

Goniec siedział na przodzie, ja za nim w odległości kilkunastu kroków. Dotarliśmy już mniej więcej do środka miasteczka, kiedy w pewnej chwili wyminęło mnie dwóch wyrostków. Zauważyłem, że podeszli do gońca i coś mu żywo opowiadali gestykulując i odwracając się ciągle do tyłu.

Przyspieszyłem kroku.

— O co chodzi? — zapytałem.

— Ja dobrze nie wiem, — odparł goniec. — Gadają coś o spadochroniarzach i szpiegach włóczących się po mieście.

— Gdzie widzieliście spadochroniarzy? — zwróciłem się do chłopców.

— *Quelque-part em France* — powiedział wymijająco jeden ze smarkaczy.

— Nie gadaj głupstw! Powtórz coś mówił przed chwilą do tego żołnierza, — zawołałem zły na arogancję chłopaka.

— Nie chcę mówić, nic nie wiem.

— Jeszcze jeden panikarz i rozsiewacz plotek — pomyślałem.

— Jeżeli nie chcesz mówić tutaj to może będziesz rozmowniejszy na wartowni, kiedy się tam prześpisz.

Z tymi słowami chwyciłem jednego ze szczeniaków za kark, wołając do gońca:

— Łap drugiego, zaprowadzimy ich do żandarmerii!

Chłopak, zwinniejszy ode mnie, wyrwał mi się jednak. Drugi, nie czekając, aż go złapie goniec, uskoczył w bok i wkrótce obydwa wsiąknęli w poświatę księżycy jak duchy.

Incydent trwał zaledwie kilka minut, ale w międzyczasie zaczął się koło nas gromadzić spory tłum. Tłum ten był dla nas wyraźnie nieprzychylny.

Po ucieczce chłopców zatarasowano nam drogę. Nie mogłem początkowo zrozumieć o co chodzi. Sądziłem, że reagują w ten sposób na chęć przytrzymania przeze mnie młodych patriotów.

— *Laissez moi passer* — powiadam.

Zamiast jednak dać mi przejście tłum zwarł się i ktoś próbował podstawić mi nogę. Ogarnęła mnie złość.

— Wał, bracie, tych szmaciarzy! — wołałam do gońca, sam szykując się do ataku. — Co oni nam tu drogę zagrządzają.

Goniec ulotnił się jednak jak kamfora. Zostałem sam, jak ów sławetny podchorąży z opowieści Żbyszewskiego w obliczu nieprzyjaciela, "gdy wszyscy oficerowie uciekli". Zawsze współczułem temu mitycznemu podchorążemu, wspominając moją francuską przygodę. Nie jest nigdy wesoło samemu, co dopiero w otoczeniu wroga. A tłum był wyraźnie wrogi i stawał się z każdą minutą groźniejszy.

Słychać było: "**Boche! Parachutiste! Espion! Prenez-le!**..."

— *Voilà comme il est habillé!* — gestykulowały damy, wskazując na moje gołe i chude nogi, wystające spod płaszcza.

Nareszcie zrozumiałem. Spadochroniarz i szpieg — to ja. Tłum działał z pobudek patriotycznych. Bretania zbudziła się do walki i chciała się włączyć zlinczowaniem hi-

ÚNICA ORIGINAL... AUTÊNTICA...

WÓDKA WYBOROWA

**Importada directamente
da Polónia**

Experimente os deliciosos "cordials" e licores poloneses.

V. encontra nas boas lojas do ramo, tódas as frutas polonesas em geleias e compostas de requintado sabor.

— *Incomparável para o preparo dos coquetéis*



Exportadora Rolimpex - Varsóvia - Polónia

Representante em São Paulo: **IKA LTDA.** Rua 7 de Abril, 342 - Fone: 34-7730

tlerskiego szpiega, który w tę pogodną księżycową noc wylądował na rynku ich miasteczka.

— Źle, dostanę lanie — pomyślałem, zajmując instynktownie pozycję obronną pod murem, niczym Podbiptę pod dębem.

Nie miałem jednak Zerwikaptura i byłem praktycznie biorąc goły. Obecność w tłumie licznych niewiast, młodzieży i dzieci ograniczały moją zdolność obrony, ponieważ jedną ręką musiałem przytrzymywać połę płaszcza, aby się nie otwierał i nie ukazywał moich wdzięków.

Położenie ogólne zmieniło się znacznie na moją niekorzyść z chwilą przybycia na pole walki chłopca, którego próbowałem przed tym uchwycić. Wyrósł teraz wyraźnie do rozmiarów bohatera narodowego.

Skoczył na mnie natychmiast jak kot i tylko zawdziejczając dobrze ulokowanemu kopniakowi zdołałem przywrócić na chwilę równowagę sytuacji. Starsze panie odwróciły oczy kiedy rozwarł się mój płaszcz i noga błysnęła jak szpada.

Nie wiem jak by się to zajęcie skończyło, gdyby nie zjawienie się policjanta francuskiego, sprowadzonego przezornie przez gońca, który miał na tyle rozumu, że miał wykonać mój rozkaz pobiegł poszukać władzy.

Policjant uciszył tłum i zapytał kim jestem i co tu robię.

Odparłem, że jestem oficerem dywizji polskiej i idę wezwany do sztabu. Obejrzał mnie z bliska, poświęcając dłuższą chwilę studiowaniu mych nóg, które zresztą były też największą atrakcją dla tłumy, po czym przeniósł wzrok na ogoloną na sposób niemiecki moją czaszkę. Spostrzegłem nieufność w jego oczach.

— Pańskie dokumenty — powiedział groźnie — *carte d'identité*.

Dramat doszedł do punktu kulminacyjnego. Tłum zamilkł, spodziewając się sensacji. I rzeczywiście...

— Nie mam dokumentów przy sobie. Zostawiłem je w domu.

Przez tłum przebiegł dreszcz zachwyty. Podejrzenia jego były wyraźnie ugruntowane.

— **Pas de papiers! Boche! Sale boche! Tirez-le!**

— Oni są *foux*, niech ich pan uspokoi i pójdzie ze mną na kwaterę, pokażę panu dokumenty.

Goniec poparł mnie i policjant miał na tyle rozsądku,

że nie zgodził się na rozstrzelanie mnie na miejscu, jak tego żądał tłum. Nie będąc jednak pewien mojej tożsamości i obawiając się, że bym nie uciekł mu po drodze, wyciągnął rewolwer i w ten sposób z całą procesją gapiów udaliśmy się na moją kwatere.

Pokazałem policjantowi dokumenty. Przeprosił mnie za kłopot, ja go za to samo i rozstaliśmy się w zgodzie.

Początkowo miałem zamiar ubrać się ale przez przekorę zrezygnowałem z tego i wyszedłem na ganek tak jak byłem w płaszczu i w pantoflach nocnych, żeby kontynuować wędrówkę nocną do sztabu.

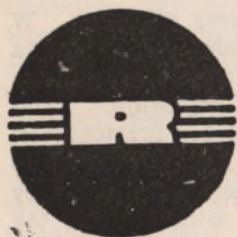
— U-u-u! Quel drol personnage! C'est bizarre quand même! — powitało mnie na progu radosne wołanie.

Tłum czekał na mnie, mając nadzieję, że przedstawienie nieupełnie się skończyło.

Porwała mnie złość, śmiech i upór dziecinny, że jeśli mi się spodoba przedefiluję bez spodni choćby przez całą Francję na oczach wszystkich diabłów. Stałem na schodkach ganku, owinałem się szczelnie połam płaszcz i w pełnym świetle księżyca czekałem na swoją okazję. Tłum ani myślał się rozchodzić bawiąc się świetnie moim widokiem. Nabrałem powietrza w płuca i w momencie kiedy gwar ustał na chwilę powiedziałem najlepszą moją nadwiślańską francuszczyzną:

— Vilains sauvages, zatrzymaliście oficera sprzymierzonej armii polskiej na ulicy i przeszkodziliście mu w wykonaniu ważnych obowiązków służbowych. Posądziliście niewinnego człowieka, że jest szpiegiem. Spadochroniarzy i szpiegów szukajcie między sobą, jest ich tam napewno wielu. Zdziwiliście się widząc człowieka bez spodni, a nie dziwicie się kiedy wasi żołnierze gubią spodnie ze strachu, uciekając przed boszami. Jeżeli sądzicie, że Hitler zrzuca gołych szpiegów z nieba to jesteście bandą durni i wariatów.

Tu porwany własnym oratorstwem z gestem Cyrano de Bergerac zrzuciłem z siebie płaszcz i goły jak mnie Pan Bóg stworzył stanąłem przed tłumem.



REN-O-MAX

Ind. Eletromecânica Ltda.

Produtos de fabricação da "REN-O-MAX"

- ★ Chaves de faca abertas e blindadas, de abertura e fechamento rápidos.
- ★ Fusi-automatos (conjuntos de chave de faca e chave magnética, botoeira e lâmpada piloto na mesma caixa).
- ★ Quadros de distribuição de luz com disjuntores termomagnéticos ou com fusíveis.
- ★ Cabines e quadros para distribuição e comando de força e luz.
- ★ Cubículos blindados tipo "Unit Substantion".
- ★ Calhas com barramento tipo "Busduct".
- ★ Chaves e bases blindadas tipo "Plug in" para encaixe nas calhas.
- ★ Disjuntores automáticos de fabr. representada "Federal Pacific Electric Co."

FABRICA:

Rua Madre de Deus, 217/227 (Moóca) — Tel. 9-5669

C. Postal, 2.504 - S. PAULO - End. Teleg.: "Eletroarco"

— Et voila votre parachutiste, imbeciles! — zakończyłem.

Wrażenie tego gestu było piorunujące. Tłum w jednej chwili umilkł, zbaraniał i prysnął. Droga przez miasteczko była wolna. Nałożyłem płaszcz i nie molestowany już przez nikogo poszedłem do dowództwa. Zameldowałem przyczynę opóźnienia i zostałem obsztorcowany za lekkomyślność.

Następnego dnia przewano mnie Parachutiste (Spadochroniarzem). Przewisko to nie długo mnie prześladowało, gdyż niedługo istniała dywizja X. W trzy czy cztery dni później zjawił się przy szlabanie kolejowym koło dowództwa zakurzony motocyklista i zawołał:

— Les boches sont passé R. — tout le monde doit se sauver.

Te słowa nieznanego motocyklisty były jedyną wiadomością o nieprzyjacielu, którą dywizja otrzymała i sygnałem do wymarszu.

Wyrzucono przez okna nowe buty z magazynów, żołnierz je nałożył i dywizja wykonała swój jedyny marsz.

A że losem Polaków jest znaczenie wszystkich dróg wędrówek krwią poznały ją również dywizja X, krwią z odrapanych nowymi butami żołnierskich, rekruckich nóg.

Tragiczny był ten marsz. Marsz bez sensu, który mógł i powinien się być odbyć inaczej o dwa tygodnie wcześniej i z innym wynikiem.

Nie ścigana nawet przez Niemców dywizja sama się skończyła. Najpierw dziesiątki, później setki ludzi wypadło z szeregów i obsiadło rowy przydrożne. Najpierw plutony, potem kompanie, wreszcie pokończyły się bataliony i pułki. Zanim Niemcy przecięli drogę odwrotu, dochodząc do Nantes, polska dywizja X przestała istnieć. Ocalali jedynie ci, którzy złapali jakiś samochód, wóz lub silniejszy, co to cudem dobrnęli do Loary i przedostali się, następnie, dalej na południe do Rochefort, Bordeaux lub St. Jean de Luz. Z dwunastu tysięcy uratowało się może kilkuset.

Miedzy ocalonymi znalazł się tylko jeden jedyny oddział zwarty oddział rozpoznawczy dywizji, dowodzony przez dzielnego rotmistrza, który nie dbał o kupony benzynowe, nie oczekiwał, ani wydawał wielkich rozkazów operacyjnych. On wyłącznie dowodził. Wsadził swój oddział na niszczyciele w Saint Nazaire i przewiózł do Anglii.

Wszyscy dyplomowani dojechali tam również. Ja także.

Wyjaśnienia wyrazów francuskich:

1. Parachutiste — spadochroniarz.
2. Quelque-part en France — w jakiejś okolicy Francji.
3. Sauvez la France — (Boże) ratuj Francję.
4. Laissez moi passer — przepuście mnie.
5. Boche! Parachutiste! Espion! Prenez-le! — Szkop! Spadochroniarz! Szpieg! Lapcie go!
6. Voila comme il est habil! — Patrzcie, jaki zgrabny!
7. Carte d'identité — Legitymacja, dowód osobisty.
8. Pas de papiers! Boche! Sale boche! Tirez-le! — Nie ma dokumentów! Szkop! Plugawy szkop! Rozstrzelać go!
9. Foux — wariaci.
10. Quel drole personnage! C'est bizarre quand même! — Co za śmieszny facet! To coś niesamowitego!
11. Vilains sauvages! — Wstrętne dzikusy!
12. Et, voila votre parachutiste, imbeciles! — Macie spadochroniarza, durnie!
13. Les boches sont passés R. — tout le monde doit se sauver. — Szkopy przeszli już przez R. — ratuj się kto w Boga wierzy!
14. Quand même — ils ne sont pas peut-etre trop mauvais. — W końcu nie są zapewne tacy źli.

Uczucie moje jest jak kwiat...

SEBASTIAN ARHENS

Uczucie moje jest jak kwiat, co w nocy

Kwitnie i nad ranem umiera cicho.

Słońce zabija smak i wonie miłości.

Dziś jeszcze kochałem cię, Ellenai,

Póki mrok nie pierzchnął. Oto rumianku

Dzikiego garść, w kurz gościńca wdeptana

I nigdy już cieszyć nie będzie oczu.

Ucieczka

FRAGMENT POWIEŚCI

JAN KRAWCZYK

Przed nimi wznosił się ciemny masyw gór Serra do Mar, pokrytych zbitą gęstwiną wszelkiej roślinności. Wąską ścieżyną, biegnącą zygzakiem zboczem góry, pieł się z trudem i powoli. Drobne kamyczki usuwały się im spod nóg, mknąc na dół z szelestem, niedaleko, gdyż wkrótce więzły w zaroślach.

Ziembra szedł na przedzie, prowadząc objuczonego muła. Za nim posuwała się żona, ciężka i sapiąca głośno. Napastowały ją jak najgorsze myśli. Cofnęłaby się chętnie, ale nie śmiała się sprzeciwić mężowi. Ten stąpił w milczeniu, trzymając za postronek kroczące rozważnie zwierzę. W drugiej dzierzył przedpotopową skałkówkę, która wydawała mu się idealną bronią w tych dzikich okolicach.

Wędrowali już trzeci dzień. Z początku kryli się w przydrożnych krzakach i nocę spędzali w niedostępnej gęstwinie. Później, gdy okazało się, że ewentualny pościg nie domyśla się kierunku ich ucieczki, zwolnili tempo. Stało się to konieczne, gdy doszli do łańcucha gór. Z jednego boku mieli podnoszącą się wysoko ciemną ścianę skalną, z drugiej zaś — bezdenną przepaść, kryjącą się zdradziecko w radośnej gęstwinie drzew i zarośli.

Mężczyzna toczył ponurym i czujnym wzrokiem dokoła. Nie wyzbył się jeszcze obawy, nurtującej mu serce, i od czasu do czasu na wszelki wypadek łowił uchem, czy nie dobiegnie go z tyłu pospieszny tętent kopyt końskich. Postarał się wprawdzie, aby nikt nie mógł skorzystać z koni — rozpędził je daleko po lesie — ale przecież można zdobyć konie u sąsiadów.

Objuczony muł człapał skubiąc po drodze gałązki mijanych krzewów. Był głodny. Wszyscy byli głodni. Wzięte na prędce zapasy kończyły się i Ziembę niepokoiło co będzie, jeśli nie napotkają niedługo ludzi. Pragnął ich widoku nie tylko ze względu na uzupełnienie zapasów żywności. Wymagał tego także stan żony. Obawiał się o nią mocno i obserwował spod oka, choć słowem się nie odzywał. Trzymała się jednak dzielnie. Co ją niepokoiło to puszcza. Takiej dzicy jeszcze nie widziała. Miejscowość, którą opuścili, też była dzika, ale po iluś tam kilometrach można było spotkać jakąś ludzką sadybę, tu natomiast — nic! Tylko góry, jary i wąwozy. I wszystko tonęło w zachłannej zieleni.

Przez chylące się nad ścieżką konary widać było pogodne niebo. Słońce paliło. Ziembra ocierał pot z czoła, żona chłodziła rozpaloną twarz gałązką brakatingi. Powietrze było ciężkie i przesycone wyziewami parującej puszczy. Kobieta odczuwała chwilami zawrót głowy, nawiedzały ją mdłości.

— Walek! — powiedziała nagle.

Zatrzymał się.

— Co?

— Zdaje się, że już.

— Napewno?

Nie, pewności nie miała, bo skądże? Przecież po raz pierwszy w życiu.

Ziembra zdjął słomkowy kapelusz, poskrobał się w głowę i chwilę medytował. Rozładował muła.

— Siadaj!

Zarzucił worki na plecy, stęknął — ciężkie były. Ruszyli dalej. Milczał. Na jego zachmurzonej twarzy znać było troskę. Zdawał sobie sprawę z położenia, ale co mógł na to poradzić? Aby tylko napotkać szybko ludzi.

Droga pieła się wciąż w górę. Wyboista, wydeptana kopytami zwierząt juczych, zdawała się prowadzić do nikąd. Wiodła jednak z Joinville do Kurytyby. Używano ją rzadko, gdyż Joinville miało bliższy i łatwiejszy kontakt z portem São Francisco do Sul, a z Kurytybą utrzymywało nieliczne stosunki kupieckie. Bądź co bądź był to jednak szlak uczęszczany przez ludzi, na którym powinny się znajdować jakieś wsie, pojedyncze domy...

Muł szedł z nisko opuszczonym łbem obojętny teraz na gałązki i trawy, wyzierające z przepaści. W pewnym miejscu dróżka skręcała na lewo, okrażała zbocze ciężkiego masywu skalnego i wybiegłszy w prawo wydostawała się na niewielką równinę, którą przecinał wąski strumień.

Ziembra spojrział w górę na słońce, wisiało nisko nad wzniesieniami zielonych szczytów.

— Chyba przenocujemy w tym miejscu.

Kobieta nie odpowiedziała.

Ruszyli ścieżką nad strumykiem. Doprowadził ich wkrótce do rzeki, toczącej swe wody po brunatnych, oślizgłych głazach. Rzekę otaczała niezbyt wysoka roślinność, ustępująca tu i ówdzie szarym odłamom skalnym. Ścieżka wdzierała się w zarośla, gubiła w gęstwinie. Wydobyła się wreszcie na kamienisty grunt. Słońce już znikło wessane przez góry, mrok począł się zwolna sączyć spod zarośli.

Chłop zatrzymał się przed jakimś większym głazem. Z ulgą zrzucił z ramion ciężar. Przyniósł suchych gałęzi, rozniecił ognisko, więcej dla obrony przed dzikimi zwierzętami, niż gotowania strawy. Zjedli po kawałku placka kukurydzanego z domieszką batatów. Ziembra zagotował trochę wody na szmaron. Z narwanych na prędce traw przygotował legowisko w naturalnym wgłębieniu pod głazem.

Noc zapadła szybko i gdy byli już gotowi do spoczynku nad głowami ich rozbłysła świetlnymi igiełkami ciemna kopuła niebieska. Zarośla ucichły jak by zdumione zmianą w przyrodzie, ale niebawem odżyły głosami świerszczy i cykad.

Kobieta jęknęła kilka razy, wciąż ją mdliło, ale niebawem zasnęła przykryta starym płaszczem. Tylko Ziembra wiercił się niespokojnie. Był zdrożony, plecy go bolały. W myśli przeżywał jeszcze raz swoją przygodę. Już od dawna podejrzewał byłego swego szefa, ale milczał dopóki żona sama nie wyznała, że fazender stale ją napastuje. Przez chwilę rozważał jak długo fazender leżał bez przytomności po laniu, które mu spuścił i co zrobił, gdy przyszedł do siebie. Szkoda, że nie poprzetrzącał mu nóg. Zatrzymało by go to na miejscu przez pewien czas, nie potrzebowałby tak pospiesznie uciekać. Teraz dopiero widział jak nierozważnie postąpił. Zawsze był taki niepotrzebnie gwałtowny. Mógł poczekać z awanturą. Zalecanki fazendera do żony nie były groźne póki była ciężarną. Ale stało się, trudno.

Gwałtowne szarpnięcie za rękę przerwało mu rozmyślanie.

— Walek, wstawaj!

Skoczył na równe nogi i zabrał się do rozniecania przgasłego ogniska. Kiedy krwawe płomienie rozgarnęły ciemność pochylił się nad żoną. Twarz jej wykrzywiona była bólem, palce obu rąk kurczowo zaciskały się na płaszczu, którym była nakryta, jak by chciała się jeszcze lepiej nakryć.

— Walek! — jęczała.

A on stał jak skamieniały. Nigdy nie był świadkiem czegoś podobnego i nie wiedział jak ma się zachować. Rozumiał, że powinien coś zrobić, zakrzatnąć się koło czegoś, coś przygotować, a nie mógł się ruszyć z miejsca. Raz po raz tylko zwilżał językiem wyschnięte wargi. Trwało to dość długo, kobieta jęczała, wydawała dzikie okrzyki, a jemu nogi wrosły w ziemię. Oprzytomniał dopiero, gdy żona zażądała noża. Drżącymi rękami przeciął pepowinę i doznał bolesnego wstrząsu, gdy do uszu jego wtargnął piskliwy

Dokończenie na stronie 25

Na kurytybskim wzgórzu Mercês stał ongiś, w latach 1920-tych, skromny, drewniany, biało malowany domek, który opowiadał się już z daleka parą wyniosłych palm, strzegących jego bramy. Żeby tam dojść ze śródmieścia, trzeba było zdecydować się na półgodzinny marsz w kurzu bądź w błocie podmiejskiej, wyboistej drogi. Nie było tramwaju w tamtym kierunku, o autobusach nikt jeszcze nie słyszał.

Kurytyba — natenczas 70-tysięczna i z tego powodu przyrównywana do Lublina, skąd napłynęła fala ostatniej emigracji — kończyła się w tej stronie dosyć nagle, zaraz za wieżą ciśnię. Dalszy spacer wiódł już opłotkami zamiejskich "szakrów". Komu by się tam śniło o jakichś "loteamentach"!

Tutaj, pod wspaniałymi palmami, nie opodal regularnych choć jeszcze mało uporządkowanych ulic, dożywał swoich dni "ojciec osad polskich w Paranie" Sebastian Woś, znany powszechniej pod przybranym imieniem Edmunda Saporskiego. Odwiedzałem go nieraz w jego ustroniu. Dzieliła nas wielka różnica wieku; w jego obecności czułem się niczym wnuk wobec dziadka, ale mocna więź rodzinnej Odry wyrównywała różnicę wieku.

Pan Sebastian zasechł już był, gdy go poznałem, na pień wiekowego ipé i nie czuł ciężaru ósmego krzyżyka. W drobnej, ruchliwej postaci kryło się coś, co z miejsca budziło sympatię. Starszemu przychodziło łatwo pozyskać sobie młodszego; trudniej bywa, kiedy rzecz ma się odwrotnie. Młodzieńczy Woś dokazał tej sztuki i to w stosunku do siwiejącej głowy, noszącej koronę. Jakżeby inaczej tłumaczyć jego sukces z roku 1869? Przed obliczem Dm Pedra II-go w Rio de Janeiro stanął wtedy 25-letni młodzieniec i w ciągu krótkiego posłuchania uzyskał zgodę na otworzenie się szerokie bram brazylijskich dla polskiego osadnika.

O tym i owym zwykli się snuć nasze śląskie "rozprawki", najczęściej o Paranie, czasem także i o starym kraju.

— Bo widzisz — orzekł pan Woś pewnego razu, klepnawszy mnie poufale w ramię — my obydwaj, to tacy Polacy przyśzywani... Dlaczegoż to ta kochana Polska nie wysiliła się na tyle, żeby przygarnąć do swojego łona moje Opole pospołu z twoim Boguminem?

Jedna z ostatnich wizyt utkwiła mi szczególnie w pamięci. Oboje, pan Sebastian i jego żona dona Maria, znajdowali się w ogródku, brodząc w grządkach kwiatów i warzyw. Zapraszali z daleka:

— Chodźże tu ino bliżej, a chodź i patrzaj, co za cuda...

Jedno i drugie dawało wyraz zachwytem:

— Polskie bratki... Polska lewkonia... Polska maciejka...

— Polska "salata"... Polska "capus-ta"...

W DOMKU POD PALMAMI Z WIZYTĄ U SAPORSKIEGO

PAWEŁ NIKODEM

Połknąłem ślinę, ponieważ nasiona tych cudowności pochodziły z mojej ręki. Zajmowałem się wówczas handlem nasienniczym, zaopatrując domostwo Saporskich we wszelkie potrzebne i niepotrzebne gatunki, tytułem "próby kielkowania". Zadowolenie gospodarzy było tym większe, kiedy wyciągnąłem z kieszeni amerykański katalog, aby wskazać pozycję "Cabbage of Warsaw", na dowód, że i u stołu Wuję Sama smakują w "warszawskiej kapuście".

— Widzisz, widzisz — zagadnęła pani Maria męża — a pamiętasz, jak posadziłeś, dawno już temu, dawno, ziarna... no tych twoich... jakże im tam... "lipas" i "dembes"?

— Ha, nie wzeszły, nie wzeszły... Nie polubiły widać nieboraki twojej ziemi.

Wtrąciłem się z własnym doświadczeniem:

— Przysłano mi bukvicę z Beskidów... Cóż, buk również odmówił wżenienia się w guarańską glebę.

Na pociechę za nieudane dęby i lipy wyrosły przed domem Saporskich owe dwie smukłe butiá, z piórami dawnych morubiszabów. Palmy przywędrowały niegdyś, jako krzewy, znad zatoki Paraguará, z Guarakessaby, skąd była rodem pani Maria z domu Oliveira.

— Ono to z drzewami jest snadź tak — westchnął gospodarz sentencjonalnie — jak z zamiarami człowieka: raz się uda, drugi raz nie uda. Więc próbuj a nie ustawaj, aż do końca.

— Dla mnie tam — przymiliła się żona — te moje butiá szumią, jakby to były one twoje... no jak im tam... te twoje "brusqui".

— Brzózki, kochanie, brzózki... — poprawił mąż i pozwolił sobie z wesołą miną na małą małżeńską zaczepkę, czego chyba nigdy w obecności postronnych nie robił.

— Ej Maryśko, Maryśko — zapytał po polsku, z tkliwym spojrzeniem — czy ty już do ostatka nie nauczysz się mówić po mojemu?

Maryśka Wosiowa, w której żyłach płynęła krew guarańskiego ludu Karijó, rozumiała zwykle wszystko, ile razy mąż zagadnął o coś po swojemu, lecz brakło jej cierpliwości, żeby się trudzić z odpowiedzią w tymże samym języku. Tym razem spróbowała. Nie umiem powtórzyć dosłownie Marysinej odpowiedzi, więc podam tylko treść.

— A widzicie go mojego roztomilego wagabundę? — strofowała przyjaźnie "swojego pacholka". — Calutkie żywobyćcie zeszło mu w krzakach i na kępach,

jak nie przymierzając Cyganowi. Teodolit miał za swoją rzkoszną babeczkę, ranszę za dom, turmę robotników za rodzinę. Ty, złota żonko, zostań sobie w czterech ścianach sama najpierw niczym sierota, potem z gromadką dzieci. Jakimi wychowałeś nas za młodu, takimi masz teraz na starość, a widzisz, a widzisz, nieboroczku...

— Cygan, wagabunda, toć i prawda... — przyznał winny. — A teraz dojdzie garimpeiro, czy nie tak, Marynka?

Nastrój u ogniska domowego Saporskich, gdzie wzięły ślub Wielka Tęsknota śląskiej chałupy z Wielką Przygodą guarańskiej taby, zaskakiwał dziś nagłą komunikatywnością. Skąd tu naraz tyle podniety? Wnet miało wyjść na jaw, co kryło się za tym.

— Chodź ze mną, chłopaku — skinął gospodarz, pociągając mię za rękaw — pokażę ci ostatnią nowość... Zdebijesz. Zrobimy śląsk w Paranie! Cóż, nie spadasz z nóg? Och, moje najmilsze, moje najsławniejsze śląsko...

Skręcając koło przybudówek i komórek, mijając szpaler winorośli, studnię podwórzową i drewnutnię, siwa czupryna poprowadziła na kuchenne schody, a stąd na przestrzał przez szereg pomieszczeń aż do obszernego pokoju na froncie, noszącego pod tym dachem tradycyjną nazwę świetlicy. Wnętrze domu było od wielu lat bezdzietne i zawiewało pustką, w oczekiwaniu na niedzielne wizyty wnuków. Rankami do powszednich czynności budziła się już tylko kuchnia, a w ślad za nią świetliczana izba, w drzwiach której przystanąłem.

Jeden rzut oka wystarczał, aby poznać, o jakim kawaiku zamorskiego chleba syn gazdów siólkowickich żył i rodzinę wychował. Pokój był gabinetem miernika. W stanach Parana, Sta. Catarina, Rio Grande do Sul a nawet w innych stronach Brazylii znajdziemy dziesiątki, ba setki podobnych pracowni, ponieważ Polacy wzięli prym pośród miejscowych geometrów, a początek dał nie kto inny, jak właśnie Saporski.

Pan Sebastian spędził pełne pół wieku na robotach w terenie, przy kolonizacji, przecinaniu pikad, obmierzaniu działek, otwieraniu wnętrza kraju, budując drogi, trasując łożyska kolei żelaznych, przeprowadzając linie telegraficzne — aż w uznaniu zasług władze parańskie przyznały mu na starość honorowe stanowisko komisarza dla ziem stanowych, położonych wzdłuż wybrzeża Atlantyku. Miał to być rodzaj renty, w zamian za emeryturę: pewien procent od wpłat za

52

sprzedawaną ziemię. Cóż, w owych czasach grunt nadmorski pod uprawę bananów i trzciny cukrowej nie budził zainteresowania, więc też dochody Woslowe z tego źródła równały się zeru.

Na wprost wejścia wisiały dwie okazałe skóry tygrysie; była to ponoć ostatnia para jaguarów z Gór Nadmorskich, upolowana przed laty w parowach Marumby. Resztę ścian zajmowały różnokolorowe, ręcznie wykonane bądź powielane mapy, plany, wykresy; tu i ówdzie trafiła się wyblakła fotografia w ramach i za szkłem pamiątka z doby spędzonej w wyrebiskach puszczy. Na niewielkim stoliku, w towarzystwie drobniagów i rulonów stała pokryta rdzą maszynka do liczenia, z kąta wyglądały kolorowe tyczki. Była tu i szafka biblioteczna, przechowująca cenny skarb: egzemplarz "Pana Balcera w Brazylii" Marii Konopnickiej, dedykowany Sapor-skiemu przez autorkę.

Ozdobę świetlicy stanowiło ciężkie, imburowe biurko. Wolne od komisar-skich papierów, służyło do przechowywania okazów, nadających się do muzeum. Był mi już znany ten skromny zbiór: kamienne kokosy z gniazdami ametystów wewnątrz, muszle morskie, przekroje lian, a nadto zabytkowe przedmioty po wymarłych dawno krajowcach, jak: młotki, toporki, tłuczki, krążki wyszlifowane z twardego kamienia.

W ozdobnej czaszy z piniorowych sęków pojawił się nowy nabytek: bryła czarnego węgla, wielkości mniej więcej dwóch pięści.

— Otrzymał pan w upominku z kraju? — pytam, kiedy koścista, trzęsąca się z lekka ręka uniosła ciemną grudę, ażeby się nią pochwalić.

— Gdzie tam, czciowiku... Ty myślisz, że tylko na jednym śląsku są czarne diamenty? Parana też ma węgiel! Nie wiedziałeś? Nikt nie wiedział... To znaczy, słyszało się coś niecoś o złożach węglowych w Iraty i Wenceslau Braz, ale żeby aż nad morzem?...

Nastąpiła krótka historia znalezienia tego kawałka, podana z przejęciem, w urywanych zdaniach. Jak to syn Pietrek jeździł ostatnio do krewnych w Guarakessabie i tam, kąpiąc się w morzu, trafił na ten okruch, wyrzucony przez fale na brzeg... Jak zięć Pietruza poleciał w te pędy na dalsze poszukiwania, syn Edek zaś udaje się za nim w tych dniach... Jak pewien znajomy, co akurat wybierał się do São Paulo, zabrał próbkę, aby oddać do analizy w laboratorium... Że warto by też postarać się o dodatkowe sprawdzenie np. w Katowicach, wszak paulistanie są gotowi ocyganić, po prostu przez zazdrość... Och, zawiść, kopanie dołków, szyderstwo...

Pan Sebastian odłożył swój wartościowy nabytek i spojrzał najpierw na żonę, potem i na mnie, jakby szukając otuchy.

— Bo czy ty wiesz, — zapytał posmutniałym głosem — że w Kurytybie już się rozpoczęło sztydzenie ze mnie, tak na kredyt? Mój syn Antek, co pracuje w kongresie, wygadał się tam przed kimś i wczoraj przylatuje z wyrzutem: "Co nas tu tata będzie wystawiał na pośmiewisko? Z okrętu gruda wypadła, i tyle! Tak mówią ci, co dobrze wiedzą." Z okrętu... z okrętu... Mogło i tak być! Ale powiedzcie mi w takim razie, skąd się wzięły u guarakessabskich kabokli gadki o "kamieniu, co gorze", o "pedra, que arde"?

— Mój dziadek opowiadał o "kamieniu, co stawał się żarem", o "pedra, que virava brasa" — przytwardziła pani Maria.

Argument wydawał się do rzeczy, albowiem dziadek panny Oliveira żył jeszcze w epoce żaglowców, a te nie gubiły węgla w drodze do Paranaguá.

Tutaj pan Sebastian uzbroidł się w atlasy i mapy.

— Brazyliia południowa... — pociągnął cienkim palcem po sieci równoleżników i południków. — Pas węglowy ciągnie się u nas akurat wzdłuż wybrzeża Atlantyku. Na tej żył siedzi sobie portogaleński gauczo. "Zielony Brzuszek" zaczął fediować węgiel w Santa Catarynie, tak samo nad morzem. Dlaczegożby zatem ława czarnego złota nie miała sięgać aż do naszych paranaguarów?

W niedługi czas potem znalazłem się nad La Platą.

W roku 1930 przyszło w ślad za mną do Missones nad Górną Parana, pismo od pana Sebastiana, skreślone — jak zwykle — drobnymi literkami, w stylu

lat 1850-tych. "Czy argentyńscy emigranci zarobkowi nie zainteresowaliby się możliwością nabycia pewnego obszaru ziemi w okolicy parańskiego Barraconu?" — zapytywał autor listu, będący już wtedy w wieku 86 lat. Waluta argentyńska stała podówczas wysoko; kurs 5 milrejsów za 1 peza dawał podstawę do wcale dobrego interesu. Koloniści nabyliby korporatywnie wskazaną posiadłość, aby się następnie podzielić, przy czym mogą liczyć na niego, Sapor-skiego, który ofiaruje swoje doświadczenie i swoją współpracę.

O węglarskim garimpie nie było w liście żadnej wzmianki. Rozwiązał się, wi-dać, ostatni złoty sen sędziwego kolonizatora! Na resztę dni zostały już tylko młodzieńcze marzenia osadnicze sprzed przeszło pół wieku, przeniesione tym razem na daleki zachód.

Gdy w kwietniu 1934-go roku wróciłem do Kurytyby, Sebastian Edmund Woś Sapor-ski spoczywał już na cmentarzu, dociągnawszy do 90-ki, bez jednego miesiąca. Na Mercês stała po dawnemu para palm. W progach domu przyjęły mnie nowe twarze.

Rzadko zaglądam na owo wzgórze, gdzie okazałe rezydencje i wille zajęły miejsce dawnych domków, zagród i pastwisk. Ostatnim razem byłem w tamtych stronach z wizytą koleżeńską u p. Jana Krawczyka, pisarza młodego pokolenia, który mieszka na przeciwnym zboczcu pagórka Bigorrilho. Kiedy czekałem na powrotny autobus Kurytyba leżała w dole, wygrzewając się w blaskach popołudniowego słońca.

Jakże to miasto wyrosło, jak się zmieniło od czasu, gdy odwiedzałem pana Sebastiana, wprost nie do wiary!

Paweł Nikodem

Insubra

SAO PAULO, Rua Barão de Itapetininga 151, 3, 4 e 5 andar — Tel. 37-3171

RIO DE JANEIRO, Av. Rio Branco, 138, 14.º
Tels.: 22-6663 e 32-9284

PORTO ALEGRE, Praça Rui Barbosa, 220, 2.º
Tel. 8323 — Ed. Tannhauser.

CURITIBA, R. 15 de Novembro, 24, Tel. 4-4457
Modesto Smolka & Cia. Ltda.

WSZELKIEGO RODZAJU

MASZYNY BIUROWE,

ORGANIZACYJNE

I BUCHALTERYJNE

W roku 1960 upłynęło pięćset lat od chwili zgonu największego żeglarza świata, księcia-infanta Henryka.

Infant Henryk urodził się jako trzeci syn króla Jana I i królowej Filipy de Lancastre w środę popielcową dnia 4-go marca 1934 r. Już jako dziecko odznaczał się dziwnym jak na owe czasy usposobieniem: nie cieszyły go ani konne przejażdżki, ani polowania, ani też wyprawy na niewiernych Maurów, na które zabierał swych synów, jeszcze jako podrostków, król Jan I. Od tych wrzawliwych wypraw woli nauki matki, łączącej religijność z zamilowaniem do poezji i wiedzy. Już jako kilkunastoletni chłopiec ma swój własny dwór. Mieszka w przydzielonym mu Sagres, kamiennym, ponurym zamku. Tam na przykład St. Vincente buduje pierwsze w Portugalii obserwatorium astronomiczne i tam też zakłada szkołę żegluga.

Bratu Henryka, Pedro, król-ojciec umożliwił podróże po Europie, aby napatrzeć się świata i nauczyć się rządzić, Henryka zaś, jako przeznaczanego do stanu duchownego, zamknął w grubych murach, gdzie miał studiować święte księgi. Ale młody książę porzucił rychło te księgi dla matematyki i astronomii. Oczy zwrócił ku gwiazdom i morzu.

Dwóch miał ulubionych towarzyszy, którzy dzielili jego upodobania: Jana Zarco i Antonia Teixeira. Obydwaj byli synami żeglarzy, opowiadali o wyprawach ojców i o tym co widzieli w czasie tych wypraw. Oby-

Interesują go zwłaszcza karawany ciągnące z Timbaktu przez Saharę. Dowiaduje się, że Arabowie wędrują w kierunku południowym wzdłuż wybrzeża i przywożą stamtąd złoto. Daje mu to dużo do myślenia.

W r. 1420 udaje się na Majorę; opowiadano mu bowiem, że mieszka tam wielki kartograf, mestre Jácome. Odnajduje tego człowieka, skłania do odstąpienia map, które posiada i osiedlenia się w jego zamku w Sagres. Mając tak niesłychany skarb zaczyna snuć wielkie plany. Nie mogą być one łatwo urzeczywistnione. Dla otoczenia infanta realne jest jedynie morze Śródziemne i wąski pas mórz opłukujących brzegi Europy. Reszta to pusta, wroga przestrzeń wodna zwana "morzem Straszliwym", "Mar Temeroso", którego nikt nie znał i na którego poznanie nikt się nie odważył.

Infant był w tym czasie wielkim mistrzem Zakonu Chrystusowego (dawnego zakonu Templariuszów). Z prawa, które mu z tytułu jego godności przysługiwało, Henryk Żeglarz zagląda do skarbca zakonu. Znajduje tam część potrzebnych funduszy. Dokłada resztę z własnej kieszeni i organizuje niezbyt daleką wyprawę pod wodzą Zarco. Zaopatrzone w mapy mestre Jácome, Zarco odkrywa piękną wyspę i nazywa ją z rozkazu księcia Porto Santo (Świętym Portem). Również zgodnie z poleceniem przyjaciela i pana zabiera z wyspy próbki ziemi, roślin i... wody. Infant stwierdza, że na wyspie mogą się osiedlać ludzie.

W tym samym roku organizuje nową wy-

bardziej odporne na burze i huragany. Dogląda robót, oblicza i kieruje sprowadzonymi z daleka majstrami.

W r. 1425 organizuje upragnioną i z dawna planowaną wyprawę na podbicie wysp Kanaryjskich. Chodzi mu właściwie o Gran Canarias. Ładuje dwa i pół tysiąca chłopów i 120 koni na nowe caracas i wyrusza na podbój. Ale dzielni mieszkańcy wysp Kanaryjskich odpierają napastników i Henryk Żeglarz, który jest astronomem, matematykiem i marynarzem, ale nigdy doskonałym wodzem, zwraca na Maderę. Osadza tam swoich ludzi.

Marzenie o zdobyciu wysp Kanaryjskich nie daje mu jednak spokoju. Organizuje więc w r. 1427 drugą wyprawę, która znowu kończy się niepowodzeniem. Kanaryjczycy posiadali już wtedy konie, byli wspaniałymi jeźdźcami. W muzeum Człowieka można oglądać ich trumny, sporządzone ze skóry końskiej. Pochowani w nich ludzie wyglądają jak mumie.

Napały Henryka Żeglarza na Canarias wywołują protesty Hiszpanii, która rości sobie pretensje do tych wysp. Infant postanawia więc skierować swe zapędy w inną stronę. Interesują go wyspy Azorskie. W r. 1427 wypławia na te wyspy jednego ze swych pilotów, Diogo de Sevil. Wie już coś o Azorach ze starych map mestre Jácome, jednej hiszpańskiej z r. 1345, a drugiej, nieco późniejszej, z r. 1351.

Diogo de Sevil zwiędza wyspy — jest ich siedem — i przywozi próbki ziemi i wody.

HENRYK ŻEGLARZ

Mikołaj Wiorogórski

dwaj też kształcili się na pilotów. Z nimi to młody Henryk uczy się sztuki żeglarskiej. A gdy "wzrasta w latach i w rozumie" daje prymitywnemu żeglarstwu i rybolóstwu naukowe podstawy: podporządkowuje żeglarstwo astronomii, uczy też dyscypliny w swej szkole morskiej, wprowadza dla młodych żeglarzy trudną naukę kreślenia map.

Wielki wpływ na infanta wywiera Jan Alfons de Azambuja. Jest on zwolennikiem zdobycia dla korony portugalskiej Ceuty. Zdobyć Ceutę zapewniło by Portugalii kontrolę cieśniny Gibraltarskiej. Król Jan I sprzeciwia się początkowo tej wyprawie ale daje się w końcu przekonać i wysyła dla zbadania terenu dowódcę floty, capitão-mor Affonso Furtado. Furtado przywozi szczegółową relację o położeniu Ceuty, a nawet o grubości jej murów. Trzy lata trwają przygotowania, popierane usilnie przez królową-matkę. Przeor Braci Szpitalników, Alvaro Gonçalves Camelo, zausznik królowej, wyjeżdża rzekomo w misji dyplomatycznej na Sycylię. Po drodze, udając chorego, zatrzymuje się na dłuższy czas w Ceucie i wysyła królowi dobrze opracowane relacje z dokonanego wywiadu, ułatwiając w ten sposób opracowanie planów wyprawy.

Król Jan wystawia olbrzymie jak na owe czasy wojsko: 19.000 żołnierza najemnego: Portugalczyków, Francuzów, Anglików i Włochów, 1.700 marynarzy. W skład floty wchodzi 212 okrętów bojowych i 31 galer. Przewóz tej armii odbywa się pod kierownictwem infanta Henryka.

Inwazja dokonana zostaje szybko i sprawnie: w r. 1415 Ceuta pada. Król na murach zdobytego miasta pasuje na rycerzy wszystkich swoich synów: Dom Duarte, Dom Pedro e Dom Henrique.

Przez czas pobytu w Ceucie infant fortyfikuje miasto w sposób "nowoczesny". W wolnych chwilach stara się poznać Afrykę.

prawę i dwaj niezawodni towarzysze, Zarco i Teixeira, przywożą próbki ziemi, roślin i wody z wyspy, którą nazwano MADEIRA tj. "Drzewo", gdyż obfituje w bogate lasy. Infant postanawia skolonizować wyspę. Sam wybiera, trenuje i uczy osadników. Każę sprowadzić sadzonki winorośli z dalekiej, słonecznej Sycylii; stamtąd kontraktuje specjalistów cukrowników, którzy potrafią uprawiać trzcinę cukrową.

W r. 1424 wyprawia pierwszy transport osadników i wkrótce wyrusza w ślad za nim. Na Maderze, bezludnej wówczas, odnajduje pozostałości osad Genuńczyków, którzy mieszkali tam przed dwustu laty oraz grób Anglika nazwiskiem Machine i jego żony. Mapy zdobyte od mestre Jácome warte były zapłaty!...

W cztery lata później odwiedza ponownie Maderę i zastaje już ją zagospodarowaną. Beczki miodu i bryły wosku czekają na wysyłkę do metropolii: w porcie leżą stosy wspaniałego drzewa, kufy znakomitego wina, wory i skrzynie cukru. Zachęca to infanta do dalszych poszukiwań. Zwiędza mniejsze wyspy, które nazywa: "ilhas Desertas" — "wyspy Pustynne". Orzeka, że nie nadają się do osadnictwa. Na jednych poleca złożyć szkółki drzewek owocowych, inne przeznacza pod hodowlę kóz i ptactwa. Słowem daje początek racjonalnej kolonizacji. Pozostawia na wyspach swych amigów, Zarco i Teixeira, czyniąc ich panami posiadłości, i uraca do Portugalii z pierwszym transportem wyspiarskich produktów.

Zachwyt luzytańskich kupców nie ma granic. Kupują cały towar, dają kredyty i Wielki Mistrz Zakonu Chrystusowego nie potrzebuje już zaglądać do zakonnego skarbca. Naród nadaje mu przydomek "Żeglarza". Książę udoskonala swoje caracas, statki dalekiej żegluga, przysposabia do transportu ludzi, bydła i produktów; są teraz szybsze,

Książę Henryk orzeka, że Azory należy skolonizować. Plan swój wykonuje. W r. 1431 organizuje wyprawę wraz z Gonsalvo Velho Cabralem, buduje na wyspach bazy wypadowe i zagospodarowuje je po swojemu. A wszystko to w ciągu trzech lat od roku 1428 do 1431.

Rok 1428 jest w życiu Henryka Żeglarza przełomowy — brat jego, Duarte, żeni się z Leonorą Aragońską. Wielkie uroczystości towarzyszą temu ważnemu wydarzeniu. Cała rodzina królewska zjeżdża do Lizbony. Zjawia się też starszy brat, Dom Pedro, wracając, jak sam powiada: "z włóczęgi po siedmiu stronach świata". Znając zamierzanie księcia Henryka do geografii przywozi mu znakomity podarek, prezent weneckich dożów: laciński egzemplarz książki Marco Polo z podróży na Wschód — do Mongolii i Chin oraz stare mapy.

Henryk Żeglarz nie zna dobrze łaciny więc Dom Pedro tłumaczy mu opowieść niezwykłego podróżnika i od tej chwili infant nie przestaje myśleć o odkryciu drogi do Indii.

Po ślubie brata książę Henryk zamyka się w Sagres. Studiuje tam w samotności księgę Marco Polo, planuje, bada i oblicza. W wyniku tych badań postanawia w r. 1434 wysłać pierwszy rekonesans do bajecznych Indii. Pilot Gill Eannes okręca przykład Bojador. W następnym roku Affonso Gonçalves de Baldaya dociera o 50 legw dalej na południe. Inny Gonçalves, Antan, w r. 1441 przywozi pierwszych czarnych niewolników i wielki ładunek złota, zdobycy pochodzącą z Rio de Ouro, późniejszej kolonii hiszpańskiej. Tak więc książę Henryk, uczonego żeglarz i Wielki Mistrz Zakonu Chrystusowego, jest na obszarze Europy inicjatorem frymarki czarnym towarem.

Dokończenie na str. 19

A BYŁO TO W POLSCE...

ROMAN ŚLADOWSKI

(Kartki z pamiętnika dziennikarza)

Wszystkie zdjęcia z prywatnych zbiorów autora.



W drodze do trybuny, z której odbierze defiladę, w rozmowie z pułk. Beliną - Prażmowskim.

Wyciągam ze stosów papierów i dawnych fotografii luźne kartki mojego pamiętnika, pisanego jeszcze na uchodźstwie w Rumunii. Tak dobrze czasem wracać myślą do dawnych wspomnień — gdy się było młodym, pełnym polotu i nadziei — jakże dziś złudnych...

Chciałbym przeżyć to raz jeszcze. Widzę to — jak przez sen, ileż to lat temu, ile?... Tak trudno czasem iść myślą wstecz — wspomina się coś, i myśli przerzuca tam, gdzie zostało coś najdroższego... Ojczyzna i... młodość.

A jednak, — gdy ze starych fotografii, zabranych z Warszawy w 1939 roku, spoglądają na mnie te oczy, trzeba mi na chwilę choćby przenieść się myślą na Błonia krakowskie — gdzie łopotały w najcudniejszym, — bo w polskim słońcu chorągiewki i lance polskiej kawalerii.

Było to dawno... a jakże niedawno. Czyż daty mają dziś znaczenie? Wstał wyzłocony słońcem, przystrojony kwiatami i chorągwiami, dzień krakowski. Dworzec, i drogę wzdłuż ulicy Basztowej i Dunajewskiego, — aż do Wawelu, a potem na Błonia wypełniły tłumy krakowian. Jakiś nastrój niewysłowionej radości czyta się na twarzach. Oto dziś Kraków gościć będzie Marszałka Piłsudskiego.

Byłem wtedy adiutantem pułku artylerii, stacjonowanej w Łobzowie. Z dowódcą pułk. Meraviglią jesteśmy na dworcu krakowskim. Jest godzina 8,30 rano, wtacza się kwieciami i polskimi barwami przystrojona, ogromna, sapiąca lokomotywa. Za nią kilka salonów. Pociąg staje. Po chwili uśmiechnięty, ożywo-

ny, rzeźki, wysiada Marszałek, za nim adiutant pułk. Wenda. Następują powitania. Uścisk ręki, wymieniony z prezydentem Krakowa drem Kaplickim, z wojewodą Kwaśniewskim, z gen. Łuczyńskim, dowódcą D.O.K. Kraków.

Potem przejście wzdłuż wyciągniętych jak struny chłopców kompanii honorowej 13 p. piechoty krakowskiej, muzyka gra hymn narodowy, tłumy w skupieniu stoją wzdłuż drogi. A potem spontaniczny okrzyk "Niech żyje Naczelny Wódz Armii Polskiej".

Wzdłuż całej drogi — Basztową i Dunajewskiego, wśród plant złotych od blasku słońca, wśród kolumn ze srebrnymi orłami, szpalery rozentuzjasmowanych tłumów, wiwatujących na cześć Dostojnego Gościa.

Kareta zaprzężona w dwie pary białych koni, otoczona szwadronem 7 p. ułanów ks. Poniatowskiego nadjeżdża. Widać ją z dala. W niej Marszałek w towarzystwie wojewody krakowskiego i prezydenta miasta. Orszak wolno przejeżdża ulicami, — skierowując się do Katedry — na Wawelu — gdzie nabożeństwo odprawi książę Sapieha — Metropolita krakowski.

Po nabożeństwie, Marszałek przechodzi na Błonia krakowskie. Idzie, otoczony generalicją, uśmiechnięty, rozmowny wśród wiwatujących tłumów i szpalerów dzieci. O godzinie 11-tej rozpocząć się mają największe gody kawalerii polskiej, jakie oglądało polskie niebo. Rewia polskiej kawalerii...

Specjalnie wzniesione trybuny uginają się pod ciężarem tłumów. Tysiące, dziesiątki tysięcy... setki tysięcy... Kraków... i — wydaje się CAŁA POLSKA...



Marszałek przed defiladą rozmawia z attaché wojskowymi.



Marszałek w otoczeniu świty w drodze na Blonia krakowskie.

Widać na trybunie dyplomację, widać duchowieństwo, migają w słońcu purpury ks. kardynała Hlonda, ks. metropolity Sapiehy, arcybiskupa Kakowskiego i biskupa Gawliny. Widać wspaniałe grotnostajowe płaszcze profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego z rektorem na czele, widać lśniące w słońcu srebro otoków czapek generalskich... a potem tłumy... starzy i młodzi... i dzieci, dzieci, dzieci polskie, jasnowłose, niebieskookie, szczęśliwe... nie te co w 20 lat potem widziałem wracające z tajg Syberii i z Indii, Afryki czy Ugandy... bez ojca i matki — lecz razem z tatusem i mamusią... by zobaczyć wielkiego Ojca, co je kochał tak bardzo. Powiewa to chorągiewkami biało-czerwonymi, oczy błyszczą... wypatrują...

Już z dala widać niezapomnianą postać Marszałka. Nieco pochylony w przód, kroczy w towarzystwie generalicji. Teraz właśnie skierował jakieś pytanie w stronę idącego obok Niego pułk. Beliny-Prażmowskiego — twórcy kawalerii polskiej, tłumy wiwatują, słysząc okrzyki: "Niech żyje polska kawaleria".

Marszałek zbliża się do trybuny z której za chwilę odbierze defiladę polskiej konnicy, defiladę największą... ostatnią w swym i naszym życiu...

Jeszcze chwil kilka rozmowy z otaczającą go generalicją, jeszcze chwil kilka rozmowy, toczącej się w języku francuskim, z attaché wojskowymi francuskim i czeskim, — której bacznie przysłuchuje się attaché wojskowy Z.S.R.R. (foto). Po chwili Marszałek wchodzi na trybunę.

I teraz zaczyna się defilada. Walą pułki za pułkami, migocą lance kawalerskie, łopocą chorągiewki biało-niebieskie, zielono-czerwone, biało-żółte, amarantowo-białe... wszystkie kolory, cała tęcza — szwołcherzy, ułani, strzelcy konni...

Konie rwą murawę Błoni krakowskich, już nadciągają nowe orkiestry na białych wspaniałych koniach. W lazur nieba płyną tony Mazurka, tłumy szaleją, wiwatują i burzą oklasków witają krakowski pułk kawalerii... 7 pułk. ułanów ks. Poniatowskiego.

Nasi chłopcy — jakby wiedzieli że to już pożegnanie. Patrzą prosto w oczy Marszałka, ich wyraz twarzy pełen skupienia, miłości i oddania...

Na twarzy Marszałka widać zadowolenie. Stoję nieco w oddaleniu na trybunie, obok mojego dowódcy. Mogę obserwować z profilu rozedrgane nerwowym wzruszeniem oblicze prowadzącego defiladę gen. Wieniawy-Długoszewskiego, który na swym wspaniałym koniu, ułokował się po lewej stronie trybuny. Jest uosobieniem kawalerzysty, rozmiłowanym w swym rzemiośle, z dumą spogląda na defilujące pułki. Ta defilada zdaje się nie mieć końca. Coraz wspanialszy jeźdźcy, coraz wspanialsze konie i sprzęt, serce raduje się — pęcznieje dumą...

* * *

Tak Błonie krakowskie — tak Kraków przeżył ten wspaniały dzień. — Pamiętam — odczuwaliśmy dziwnego rodzaju wzruszenie. Była to mieszanina wzniosłego entuzjazmu i jakby fizycznego bólu. Oto kilka dni przed tym, jeden z wyższych oficerów najbliższego otoczenia Marszałka, a mój szkolny kolega i przyjaciel, opowiedział nam w największej tajemnicy — o ciężkim stanie zdrowia Naczelnego Wodza. Dziś, po tylu latach — już nie jest to niedyskrecją, gdy to ujawniam... wtedy... dotrzymaliśmy tajemnicy.

W rok potem zamknęły się na wieki oczy wielkiego syna Polski, i wielkiego człowieka. Te same pułki defilowały przed Nim...

Roman Sładowski.



Marszałek w otoczeniu generalicji oczekuje rozpoczęcia defilady.

SEBASTIAN ARHENS

Uśmiech dziecka

Blakną wspomnienia niegdyś malownicze,
Już północ bije na życia zegarze.
Koniec wysiłków daremnych i marzeń,
Jeden po drugim gasną srebrne znicze.

Wszystko na świecie prochem jest i niczem
Prócz oczu dziecka, co są jak ołtarze
Miłości czystej i sercu bić każą
Tak jak zapragną i jak sobie życzą.

Czas, co uciera życie na swym żarnie
I w białych dłoniach nicość wiecznie niesie
W dni, jak paciorki, jednakich bezkresie
Na jedną radość pozwala bezkarnie:

Uśmiech dziecięcia i dla niego warto
Wlec egzystencję jak suknię wytartą.

U Felicji Leirner

Warszawianka. Polskę opuściła w roku 1927, by osiąść na stałe w Brazylii, w São Paulo. Studia artystyczne rozpoczęła u Wiktora Brecheret. Kierunek tego wielkiego rzeźbiarza brazylijskiego, pochodzenia francuskiego, zabarwił wprawdzie kilka pierwszych jej prac, ale wybitna indywidualność Felicji szybko wyzwoliła się ze wszelkich wpływów czy nawet uroków, jakie wywarli na nią Moore, Chadwick, Marini. Każdy z nich przekazał jej coś z siebie, u każdego wiele podpatrzyła, ale od żadnego nie uzależniła stylu swej twórczości. Nieskrę-

powana, oryginalna, całkiem odrębna od pokrewnych sztuką, nigdy nie zbierała się z żadną grupą artystyczną, samotnie i zdecydowanie wyrabując chodnik swoich ambicji, wierna jedynie sobie i swojemu niezwykłemu talentowi.

Obok oryginalności tworzenia zdumiewa w artystce jej umiłowanie i opanowanie materii. Pieści ją, kształtuje, poskramia, czyniąc ją w swych palcach uległą, odporną, zmysłową, sentymentalną do liryzmu, wytworną do nobliwości. Rzeźby Felicji Leirner, wytryskujące ze świeżej zieleni olbrzymiego trawnika na tyłach ogrodu okalającego willę, są wysmukłe, strzeliste i jakże dostojne. Dotyczy to przede wszystkim prac z jej okresu figuralnego, które budzą we mnie, wielbicielce sztuk pięknych starszej daty — rzadko doznawany zachwyt. Jeżeli chodzi o pracę Felicji z okresu wyłomów z figuralności i coraz silniej akcentujących się skłonności do abstrakcjonizmu, który — wszystko na to wskazuje — na dobre zawładną twórczością rzeźbiarki, podziwiać należy lekkość, która pomimo surowości materii — przeważnie kamień i bronz — charakteryzuje sławne "kompozycje". Z owych zespołów form i ruchu technicznie jakas nie dająca się określić zagadkowość, jakiś kojący spokój, "un repos musical", jak o sztuce Felicji wyraził się Michel Seuphor w swej niedawno wydanej "La sculpture de ce siècle".

Rzeźba nie jest dla niej przygodą, przypadkiem czy grą, to czułe narzędzie jej wypowiedzi. Felicja nad wyraz skromna i mało mówna, gdy chodzi o nią samą, o jej życie artystyczne, o osiągnięte sukcesy, jako artystka zdumiewa rozległą skalą elokwencji. Poprzez swe prace przemawia do nas bogatym, ciekawym językiem, ale też nie za głośno, zawsze w porę uciekając się do tłumiku, łagodzącego element groteski czy sensacji. I tematyka jej prac jest zaczerpnięta ze wszelkich dziedzin, z najbliższego otoczenia poprzez podpatrzone zjawiska przyrody, legendy, Biblię, genialnie naginając Przedwczoraj do Pojutrze.

Przyglądam się Felicji Leirner i trudno mi uwierzyć, że ta niewielka, łagodna, zawsze uśmiechnięta, macierzyńska kobieta, skromna i bez pretensji, którą wejście córki Giseldy (również znanej już artystki-rytmowniczki) w oka mgnieniu wylacza z atmosfery wizyty i komentarzy jej dzieł, by przeistoczyć w zakochaną babcię, spragnioną nowinek o wnuczkach — jest wielce utalentowaną, wielokrotnie nagrodzoną artystką, której prace nabyło Stedelijk Museum w



Amsterdamie, Narodowe Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu, muzeum o tejże nazwie w Rzymie, Miasto Artystów, Ein-Hod w Izraelu, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Rio de Janeiro i w końcu Museu de Arte Moderna w São Paulo, nie mówiąc o udziale w licznych wystawach artystów brazylijskich, które pod auspicjami Itamarati odbyły się w Argentynie, Chile, Peru itd. Felicja Leirner brała udział w Bienal II i III, wyszedłszy z tej ostatniej z t. zw. Premio de Aquisição do Museu de Arte Moderna do Rio de Janeiro, nie mówiąc już o wystawach, które ma za sobą w Galerii das Folhas w latach 1957 i 1959, oraz o tych, które zamierza urządzić wkrótce w São Paulo, Rio, Bahii i Argentynie. — W przestrzennej pracowni artystki stoją już przygotowane do "odprawy" owinięte w płótna prace na wymienione ekspozycje.

Dokończenie na str. 19



Dzień był upalny. Parne powietrze dławilo, a rudy pył, unosząc się chmurą za przejeżdżającymi po niebrukowanych ulicach samochodami, piekł w oczy i osiadał na bieleźnie i spoconym ciele. Wiatr jak by usnął, żaden podmuch nie chłodził, a gdy zdarzyła się dłuższa przerwa pomiędzy samochodami i pył opadał — widziało się ciągłe drżenie rozgrzanego powietrza. Była to jedna z tych przedburzowych gorączek brazylijskiego stycznia.

Na pobliskim zegarze kościelnym wybiła druga i upał, nawet tu w poczekalni hotelu i w cieniu, dawał się mocno we znaki. Gościom hotelowym koszule poprzyklepały się do ciała, a siedzący naprzeciw mnie lekarz wędrowny wachlował się chusteczką i co chwila, ocierał spocone czoło. Doktor N., młody jeszcze mężczyzna, szczupły o kędzierzawych włosach i śniadej cerze, prowadził swoją poradnię w hotelu. Poznałem go przed paroma godzinami, zaraz po przyjeździe do miasteczka L. Siedział właśnie w holu i oczee-

kruzejrów. Zaproponował nieśmiało czy by mu go ktoś nie wymienił.

Nikt z obecnych jakoś się nie kwapił z odpowiedzią. Drobne są przecież w podróży bardzo potrzebne.

W sposobie mówienia kabokla i w jego twarzy było coś takiego, że nie mogłem mu odmówić. Zrobiło mi się go żal i sięgnąłem do kieszeni.

— Zobaczę, czy będę miał — powiedziałem.

Kaboklo otarł rękawem koszuli krople brudnego potu z twarzy i uśmiechnął się blade.

— Była by to dla mnie wielka łaska — odparł. — Zmęczony jestem, a i wracać będę pieszo.

Musiabym pójść do banku wymienić...

Dowiedziałem się, że mieszka w miejscowości odległej o 20 kilometrów od L. i pracuje w tartaku. Pieniężny zaoszczędzonych nie miał, a owe pięćset kruzejrów dostał od kierownika na poczet roboty.

JEDEN Z WIELU

OBRAZEK Z INTERIORU

JERZY SEMENIUK

kiwał na pacjentów, były to bowiem godziny przyjęć. Nie bardzo mu się to opłacało, jak twierdził, gdyż chorych zgłaszało się mało. Ludzie z interioru wolą się leczyć u *kurandeirów*, lekarza szukają kiedy już jest za późno.

— Gdyby nie moje poobiednie zajęcia w szpitalu — mówił — to by się nie warto zatrzymywać w takich miasteczkach. Proszę mi wierzyć, senhor.

Możliwe.

Słuchałem lekarza ale słowa jego dochodziły do mnie jak ze studni. Chyba się nawet zdrzemnąłem patrząc poprzez szerokie, oszklone drzwi na nudny krajobraz: domy jak by zrudziały od kurzu i położoną po przeciwnej stronie ulicy stację benzynową, na której chwiały się szyld: *Posto Shell*. Podjechała zielona ciężarówka i obsługa stacji w brudnych kombinezonach zaczęła tankować benzynę.

Nagle zwrócił moją uwagę człowiek idący brzegiem chodnika. Bosy, w kraciastej koszuli, na której znać było ślady kurzu i potu, w spodniach z grubej pasiastej tkaniny o nogawkach nie zakrywających kostek, niósł na rękach małą, może trzyletnią dziewczynkę, ubraną także w kraciastą sukieneczkę z taniego materiału.

Kierował się do hotelu i gdy podszedł bliżej spostrzegłem jaki był znużony. Wędrował widocznie z daleka. Śniada twarz o wystających kościach policzkowych była brudna i spocona.

Zaraz za progiem kaboklerskim zwyczajem położył koło drzwi na podłodze słomkowy kapelusz. Spostrzegłem, że chyba ze trzy miesiące nie był u fryzjera.

Lekarz podniósł się czując pacjenta i honorarium. Zagadnął obcesowo kabokla co mu dolega. Nie, nic, tylko dziecko jest chore.

Dziewczynka była, rzeczywiście, bardzo wychudzona. Tyle zdążyłem zauważyć, gdyż lekarz wprowadził szybko oboje do swojego gabinetu.

Znowu ogarnęła mnie senna. Kaboklo i mała przestali mnie interesować; upał się jak gdyby jeszcze spotęgował; po przeciwnej stronie ulicy nad stacją benzynową pojawiła się chmara sępów — krążyły wolno, zataczając koła.

Nie wiem ile czasu minęło, może pół godziny, gdy kaboklo wyszedł z gabinetu. Dziecko zostawił jeszcze u lekarza, a sam niósł w ręku banknot o wartości pięćset

— Dobry to człowiek, panie. Poratował kiedy zobaczył, że koniecznie trzeba.

W dalszym ciągu wyznał, że miał nadzieję wrócić do domu ciężarówką właściciela tartaku, ale popsuta się i reperacja potrwa do następnego dnia, on zaś musi nazajutrz stanąć do roboty, w przeciwnym razie kierownik potraci mu dniówkę. W drodze powrotnej wstąpi do apteki po lekarstwo dla malej.

Wysuplałem wszystkie drobne z portfelu i jakoś udało mi się zebrać pięćset kruzejrów. Podziękował i po chwili wszedł do gabinetu lekarza. Wrócił już z dzieckiem. Usiadł na wolnym krześle koło drzwi, zapalił papierosa i całym sobą wypoczywał. Mała zsunęła mu się z kolan i rozglądała się dużymi, czarnymi oczami po obecnych. Było to typowe dziecko kaboblerskie o śniadej cerze, ciemnych lekko kędzierzawych włosach i indiańskich, podobnie jak u ojca, wystających kościach policzkowych. Jedno co było w niej ładne to oczy, które chudość ogólna jeszcze podkreślała.

Od czasu do czasu ciągnęła ojca nieśmiało za nogawkę i mówiła szepleniąc:

— Chodźmy do domu, papai.

— Odpowiadaj niezmennie:

— Zaraz pójdziemy.

U FELICJI LEIRNER

Dokończenie ze str. 18

Jeszcze chwil parę wśród ścian, ogarniających poważną, ale jakże taktownie prezentującą się zamożność gospodarza domu, przemysłowca, filantropa, mecenasa sztuki oraz fundatora t. zw. Nagrody Leirnera Sztuki Współczesnej i opuszczam ciekawą rezydencję Leirnerów przy rua Guadalupe z błogim uczuciem nasycenia. Nie jest mi zbyt często dane podziwiać — i to w prywatnym domu — Segallą, Chagallą, Portinari, Di Cavalcanti, Tarsilę, Martinsa, Goeldi i wielu innych wielkich artystów figurujących na światowej giełdzie nowoczesnej sztuki.

Mira Carla.

Ale zdaje się, że mówił automatycznie zajęty swoimi myślami lub może nie nie myślał. Obserwował dym, którym się gęroko zaciągał i który podbity oddechem wzbijał się w górę. Czasem przymykał oczy. Był teraz uosobieniem zubożnienia.

Zgaś mu wreszcie papierosa, dopaliwszy się do wilgotnego od śliny tytoniu.

Podniósł się wtedy ociężale, wziął dziecko na rękę i wyszedł.

Przez oszklone drzwi widziałem jak oddala się, idąc brzegiem chodnika, nieco przygarbiony, chudy; gołe nóżki dziecka chwiały się miarowo w takt jego kroków.

IKA

FABRICA DE MALAS E ARTIGOS
DE VIAGEM

Najnowocześniejsza i najlepsza fabryka
walizek w Ameryce Łacińskiej

CURITIBA - PARANÁ

Fábrica e escritório:

Av. N. S. Aparecida, 3381 (Seminário)

Fone: 4-2864 - escritório,

4-2606 - fábrica

Caixa Postal, 210

HENRYK ZEGLARZ

Dokończenie ze strony 15

Wyprawy mnożą się, a że są kosztowne książkę Henryk rozszerza handel niewolnikami. Forteca zbudowana w zatoce Arguin koło przylądka Cabo Blanco staje się ośrodkiem tego handlu. Jadą stamtąd wielkie ładunki nabytego od Arabów żywego towaru i złota.

Od roku 1444 do 1446 trzydzieści pięć statków z Lagos i Lizbony przewozi niewolników do Portugalii, a za uzyskane pieniądze infant finansuje wyprawy na nieznane morza. Diniz Dias i Nuno Tristan docierają do Senegalu, okrążają przylądek Cabo Verde, a weneccjanin Că da Mosto bada rzeki Senegal i Gambię. Zapędzony wiatrami odkrywa wyspy Zielone na południe od przylądka Cabo Blanco.

Książkę infant Henryk, zwany Żeglarzem, zmarł pięćset lat temu 13 listopada 1460 r. Do końca życia nie miał pewności, czy jego wyprawy dążyły we właściwym kierunku: szukał Indii, a znalazł Afrykę.

MIKOŁAJ WIOROGÓRSKI

STANISŁAW OSSOWIECKI

(Soc. Fin. Barros-Handley)

Sprzedaż nieruchomości

Orientacja fachowa

SAO PAULO, rua Barão de Itapetininga, 224, 1.º — Fone: 32-3131
e residência 80-7045

JEDNA AKADEMIA

Sala była już prawie zapełniona. Cały pierwszy rząd zapadniętych i uszkodzonych foteli, przeznaczony jedynie dla grubszych ryb, przedstawiał widok rzeczywście imponujący.

Tu siedział hrabia Dziondzioł, wsparty pięć prawej nogi na lewym kolanie. Obok zajmowała miejsce, wyprosiwszy jednego z maluczkich, który nieopatrznie zajął tak wysoki stolec, pani senatorowa. Trzy wicherki na czubku głowy wymykały się jej figlarnie spod oryginalnego indyjskiego turbanu. Wspierała się ramieniem o samego pana senatora Kulasińskiego. Głowę pana senatora o osobliwym kształcie pokrywały rzędy włosów, zaczesanych spod pachy. Twarz nobliwa, okrągła, myśląca: wyczytać z niej można było sen o szpadzie i dumkę o hetmanie. W pobliżu usadowił się prezes związku związków, pan Kubasek, a tuż koło niego mistrz ceremonii dzisiejszej akademii, major Kurowski.

Pod ścianą jak z trumny wyjęty sterczał podobny do zeszytniałego nieboszczyka kustosz Bogumił Młodzieńczykowski na Młodzieńczykach, jak mawiał niekiedy, gdy był w dobrym humorze, co się zresztą rzadko zdarzało, gdyż zawsze miał jakąś "zmartwicheć wedle zgryzochy". Złośliwi twierdzili, że nazywał się właściwie Młodzianower i że był doktorem obojga kaligrafii. Obecnie zajmował się wyiobem perfum, których jedna kropla wystarczała, aby szanujący się człowiek zatykał nos. Perfumy te miały jeszcze jedną przedziwną właściwość: oto można je było używać w potrzebie zamiast emetyku.

Dalej obok małżonka, który nigdy nie mówił, siedziała na dwóch krzeselkach (dlatego tylko, że krzeselczka były dość szczupłych wymiarów) pani Armacińska, wystawiając jak zajączek dwa zepsute ząbki w omdlewająco-słodko-ironicznym uśmiechu. Po pierwsze, ponieważ była niegdyś starościna, której nikt dotychczas nie złożył z tego stanowiska, a po wtóre, że onego czasu spełniała funkcje nauczycielki w szkole powszechnej i całą literaturę ojczystą miała z tego powodu w małym paluszkach, a więc wszelkie popisy z tej dziedziny, które się za chwilę miały odbyć naprzód już krytykowała.

Właśnie wyobrażała sobie samą siebie rozpiętą na krzyżu, czarnym jak heban albo jak kruk, przepasaną li tylko szarfą białą-czerwoną, z łańcuchami na nóżkach i rączkach i deklamującą podniosły wiersz o poświęceniu, katuszach i mękach emigranta. Wraz z uśmiechem zaczęły jej ściekać łzy z modrych oczu na samą myśl o poezji i romantyzmie, który zawsze myliła z sentymentalizmem i dlatego też jej obecny pan i małżonek był już czwartym z rzędu, a ci poprzedni bynajmniej ziemi nie gryzli tylko błakali się gdzieś po szerokim świecie.

Właśnie pani Kawiorkowa rozpoczęła szalenie ciekawe opowiadanie o swojej sublokatorce, "która chciała ją dźgnąć tępym nożem, a o wyprowadzeniu się ani myślała", gdy zaczęto sykać na sali, aby się uciszono.

Major Kurowski wstał, spojrzął władczy wzrokiem na zebranych i powiedział:

— Możemy chyba zaczynać? Proszę, panie prezesie.

A był to jeszcze jeden prezes. Nie był to, bo prezes towarzystwa "Jedność" (w cudzysłowie). Prezes tego właśnie towarzystwa, którego siedzibą była sala obecnie po brzegi wypełniona.

"Witam szanowne państwo!"

Następnie spojrzął w sufit szukając dalszego natchnienia.

— Zebraliśmy się tutaj — podjął — proszę szanownego państwa, aby uczcić ten dzień tak wielki dla nas i dla was, dlatego, że ten dzień, proszę szanownego państwa, to przecież... ten tego... największy dzień dla każdego z nas, bo przecież czcimy dzisiaj nieznaną żońnierzy. Takich jak ja, jak wy, jak my, jak oni... tych co to swoją krew wylali za nas i za was... Zawsze będziemy dla nich sercem i duszą i ciałem przy nich i dla nich. Niech żyją!

— A teraz — powiedział po chwili, gdy umilkły oklaski, major Kurowski — poprosimy pana Figusa, aby nam zdał relację z własnych przeżyć wojennych.

Pan Figus, bohater spod Monte Cassino, wszedł na podium, wstrząsnął dumnie lokami, dla dodania odwagi włożył na nos zielone okulary i po dwakroć chrząknął. Nie będziemy przytaczali jego opowieści, gdyż znajdziecie ją, mili Czytelnicy, w jednej z książek z wspomnieniami wojennymi, napisanej bynajmniej nie przez pana Figusa.

Gdy skończył rozległa się burza oklasków, a najgłośniejsz biła brawo oczywiście pani Figusowa.

— A teraz Maniusia Pietrusińska — zaanonsował major Kurowski. — No, chodź, kochanie, nie bój się.

Pogładził dziewczynkę po głowie i wypchnął ją do przodu.

— Wiersz pod tytułem: "Żołnierzu, żołnierzu!" pana majora Kurowskiego — rozpoczęła w końcu Maniusia.

"Żołnierzu, żołnierzu, czemu smutny stoisz?
Przecież masz odwagę, przecież się nie boisz?
Wspomnij dziadka, babkę i ciotkę pospołu,
Jak ich wraże wrogi zagnali do dotu!
Pomnij też na Orla, co skrzydłami macha
I bądź nam wesoły i śmiej się: cha, cha, cha!"

I tak szły popisy za popisami: deklamacje, śpiewy i tańce. Nie sposób wszystkiego opisać.

Wreszcie akademie skończyła się i oficjalni goście, jak hrabia Dziondzioł, państwo senatorostwo Kulasiński i jeszcze kilka osób z tak zwanej elity, wynieśli się po angielsku.

Młodzież, rzecz jasna, zaraz puściła się w tany.

Wśród tańczących wyróżniał się wysoki młodzien. Był to pan sekretarz Ankiewicz, któremu według zwyczaju już od początku akademii solidnie kurzyło się ze zwichrzonej czupryny. Wybałał oczy wprost w tancerkę i szeptał jej coś glosem ochrypłym od zimnego piwa. Napewno ją do jakiegoś grzechu namawiał.

W bufecie natomiast, który zawsze miał powodzenie, jako że pan prezes Sikowski lubił być pod parą i nigdy nie gardził czystą, ani kolorową, aczkolwiek whisky też nie gardził, zwłaszcza, gdy mu ktoś postawił, rej wodził pan Pichta i krytykował ostatni bal, ponieważ przyniósł pół tysiąca straty.

— Mówiłem przecież, że ten bigos sprzedawaliście wprost beczennie, dlatego też znajdujecie się teraz w sytuacji ultrastrategicznej!

Sala powoli pustoszała tylko przy jednym ze stolików dogorywał prezes, czerwony, jak piwonie, a jeszcze perorował i bił pięścią w stół, aż szklanki dzwoniły i powtarzał bez przerwy słów kilkoro, słów nie nadających się, niestety, do druku. Młodzież zaś wywijając tymczasem przy dźwiękach adaptera, tupała i biła holupce, aż się ściany trzęsły.

MIKOŁAJ ŚWIATŁODYCZ

Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka
(kierownictwo włoskie)

KOSZULE NA MIARĘ

Dandy

J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)

SÃO PAULO



Rodosfiel S.A.

STRONICA PARAŃSKA

MOJE SPOSTRZEŻENIA

Dawno już chciałem zabrać głos w sprawie, która od dłuższego czasu nie daje mi spokoju. Chodzi o stworzenie w Kurytybie ośrodka kulturalno-oświatowego polsko-brazylijskiego na wzór istniejących już na tym terenie podobnych ośrodków narodowościowych, wywodzących się z takich np. ugrupowań etnicznych, jak: Niemcy, Anglicy, Francuzi, Amerykanie, Japończycy, Syryjczycy itp. Nie sądzę, żebyśmy byli gorsi od tych ugrupowań. Liczebnie przewyższamy w Paranie wszystkie inne etnie. Tylko, że lubimy pozostawać w tyle, lubimy wlec się w ogonie, jak by nas w ogóle nie było.

Nie mogę pogodzić się z tą naszą dziwną opieszałością, obojętnością i niezdecydowaniem w sprawach, które jak najbardziej powinny nas obchodzić.

Istnieją w Kurytybie liczne towarzystwa zrzeszające Brazylijczyków polskiego pochodzenia i Polaków, stanowiące dziś prawdziwą potęgę finansową, kulturalną i społeczną. Ludzie, którzy przyczynili się do rozwoju tych towarzystw są z nich dumni. O jednym tylko zapomnieli, że żyjemy w kraju, prosperującym we wszystkich dziedzinach: kulturalno-oświatowej, przemysłowej, handlowej, budowlanej i transportowej i że obowiązkiem naszym jest propagowanie za granicą osiągnięć narodu brazylijskiego, przede wszystkim zaś na obszarze ojczysty naszych przodków. Dzisiejsza Brazylia wyrasta na jedną z potęg tego świata, a jak mało o niej wiedzą nasi rodacy w Polsce.

Wielka przemiana, która ogarnęła Brazylię, nie ominęła też Brazylijczyków polskiego pochodzenia. Już nie dziesiątki, ale tysiące osób o nazwiskach polskich kształcą się w średnich i wyższych uczelniach, pracują w urzędach lub w przemyśle i w handlu. Inni zajmują poważne stanowiska polityczne, kościelne i oświatowe, prowadzą własne fabryki, biura, kancelarie adwokackie i szpitale. Słowem ludzie nasi odważnie i śmiało pchają się na przód, zdobywając coraz więcej uznania w oczach Brazylijczyków. Ale wszystko to są wysiłki indywidualne.

Życie społeczne utknęło w miejscu, tkwimy wciąż jeszcze w formach i sposobach działania sprzed kilkudziesięciu lat. Jest to zjawisko niezmiernie szkodliwe dla naszego ugrupowania etnicznego, dla naszych stowarzyszeń i związków, które zamiast rozwijać się kosztują, tracą członków, tracą w ogóle grunt pod nogami.

Czas już najwyższy, jak sądzę, uderzyć na alarm. Czas pomyśleć o reformie życia społecznego, o nadrobieniu założeń w stosunku do innych ugrupowań etnicznych.

Na pierwszy plan wysuwa się tu utworzenie ośrodka kulturalno-oświatowego polsko-brazylijskiego.

Zadaniem tego ośrodka powinno być, moim zdaniem, organizowanie kursów języka polskiego i portugalskiego, urzą-

danie konferencji w sprawach kulturalno-oświatowych, odczytów, pokazów filmowych, koncertów, wieczorów literackich, wystaw i innych imprez mających na celu zbliżenie kulturalne polsko-brazylijskie. Ośrodek utrzymywał by bibliotekę i czytelnię oraz dyskotekę. Pożądane było by również przyczynianie się do wymiany kulturalnej pomiędzy Polską i Brazylią.

Nie potrzebuję dodawać, że działalność opierała by się na zasadach ścisłej apolityczności tak, aby na jego gruncie mogli się spotykać ludzie przynależni do różnych obozów, zainteresowani w umacnianiu i rozwijaniu przyjaźni pomiędzy narodami polskim i brazylijskim. I tylko tyle.

Kilka z naszych towarzystw posiada piękne lokale w śródmieściu. Mogło by je udostępnić czasowo ośrodkowi. Warto by się też zastanowić, czy jedno z tych towarzystw nie zmieniło by statutu w celu zorganizowania przy sobie ośrodka, o którym mowa.

Posiadamy już piękne biblioteki w tujszych towarzystwach. Może było by sprawą na czasie połączenie ich pod jednolitym fachowym kierownictwem. Gdyby zaszła potrzeba powiększenia księgozbiorów napewno znalazło by się wielu takich między nami, którzy nie poskąpili by dzieł z własnych zbiorów.

Chciałbym, aby mój głos w sprawie powołania do życia ośrodka kulturalno-oświatowego polsko-brazylijskiego nie był przysłowiowym głosem wołającego na puszczy, i byłbym rad, gdyby inni rodacy wypowiedzieli się na ten temat.

DR S. FELIX WERPACHOWSKI

Z WIZYTĄ U KS. BISKUPA KRAUSEGO



Korzystając z pobytu w Kurytybie odwiedziłem ks. biskupa Ignacego Krausego w jego celi, równie ubogiej, jak cela zwykłego misjonarza. Ozdobą tej celi i jedynym luksusem są książki.

Ks. biskup Krause przyjmuje mnie z ową prostotą i szczerością, która cechuje go zarówno przy wykonywaniu obowiązków kościelnych, jak i w życiu prywatnym. Stąd i prowadzona przez nas rozmowa staje się od razu bezpośrednia i serdeczna.

Mówimy o niedawnej przeszłości. Ks. biskup Krause po opuszczeniu Chin Północnych, w których sprawował obowiązki biskupa diecezji Shunthefu, przyjechał na wizytację misyjną do Brazylii w r. 1952. Ówczesny nuncjusz apostolski, a obecny kardynał ks. Carlo Chiarlo, mianował go koadiutorem ks. biskupa z Joinville. Po opuszczeniu tego stanowiska zostaje mianowany administratorem apostolskim i pełni te funkcje do r. 1957 kiedy zostaje wyznaczony koadiutorem ks. arcybiskupa kurytybskiego. Na tym stanowisku pozostaje do kwietnia 1958 roku. Zamianowany na nowo administratorem apostolskim prałatury apostolskiej w Foz do Iguaçu, obejmującej olbrzymi obszar 75 tys. kilometrów kwadratowych, pracuje tam aż do chwili podziału tej prałatury na dwie diecezje: Toledo i Campo Mourão. Obecnie sprawuje znówu czynności biskupa koadiutora ks. arcybiskupa w Kurytybie.

Ta zmienność stanowisk w ciągu niespełna dziesięciu lat wskazuje jak wielką ruchliwość i niespożytą energią obdarzony jest ten duszpasterz, który z prawdziwą chrześcijańską skromnością i samozaparciem potrafi wykonać trudną i niebezpieczną nieraz dla zdrowia robotę misyjną.

— Ale ja jestem w dalszym ciągu biskupem diecezji Shunthefu — mówi. — To jest mój właściwy przydział.

Wyczuwam, że praca misyjna w

Chinach była dla ks. biskupa Krausego najmiłsza sercu i że dusza jego wciąż jeszcze się rwie do opuszczonych owieczek.

Poruszamy inne tematy. Ks. biskup Krause jest gorącym zwolennikiem literatury narodowej. Opoowiada, że w czasie niedawnej wizyty w Rzymie wdał się z Ojcem Świętym Janem XXIII w dyskusję o literaturze polskiej.

— Nie czytałem jako ksiądz żadnych romansów — powiedział Papież — ale Sienkiewicza pochłoniętem całego, ponieważ miłość u Sienkiewicza jest zawsze czysta i wzniosła.

Ksiądz biskup Krause uśmiecha się.

— Tu w Paranie mamy wśród wyższego duchowieństwa równie gorących zwolenników Sienkiewicza. Dom Geraldo Fernandes, biskup Londriny, wyznał mi niedawno, że gdy doszedł czytając Potop do obrotu Częstochowy ogarnął go taki animusz, że chciał się zerwać i bić Szwedów.

— Może to pana także zainteresuje — mówi ks. biskup Krause i

odpiąwszy złoty krzyż wysadzany ametystami daje mi go do ręki.

— Krzyż ten — dodaje — zaofiarowany został Papieżowi Piusowi XI przez Prezydenta Mościckiego z okazji przesłania kapelusza kardynalskiego ks. Prymasowi Hlondowi. Dziwi pana zapewne w jaki sposób krzyż trafił do mnie. Otóż w r. 1934 Papież przekazał go delegatowi apostolskiemu, Mario Zanin'owi, wyjeżdżającemu do Chin. Z rąk ks. Zanina otrzymałem krzyż, gdy w r. 1944 uzyskałem sakrę biskupią.

Ks. biskup Krause zamyśla się. — Chciałbym, aby ten krzyż powrócił do Polski.

Audiencja przeciągnęła się ponad godzinę. Nie chcąc nadużywać cierpliwości ks. Biskupa żegnam się. Na zakończenie proszę Go jeszcze o kilka słów dla naszych czytelników.

— Całe uznanie dla redakcji, która pracuje, aby zachować ideał i mowę polską wśród naszej emigracji, — powiada ks. Biskup Krause — a dla czytelników — żeby chętnie czytali co polskie, bo tam znajdują i pokarm dla duszy swojej i odświeżenie języka.

SEBASTIAN ARHENS

ROZMAITOŚCI PARAŃSKIE

ZMARŁ TADEUSZ GRZYBCZYK, POETA PARAŃSKI

Dnia 22 stycznia br. zmarł w Araukarii poeta parański, Tadeusz Milan Grzybczyk, przebywający w Brazylii od r. 1904. Urodził się w Bośni, kształcił w Zagrzebiu, a do Brazylii przybył jako dziewiętnastoletni młodzieniec. Początkowo pracował jako mierniczy, a później przez pewien czas był nauczycielem w Afonso Pena, gdzie spędził większą część żywota. Mieszkał samotnie w niewielkim łasku, gdzie napisał wiele swych wierszy.

Najbardziej znaną pracą Grzybczyka są: "Wianki Parańskie", wydane w r. 1921. Jest to wierszowany utwór sceniczny napisany specjalnie dla mieszkańców Afonso Pena, urządzających w owym czasie (rok 1915) Noc Świętojańską. Oprócz tego zbiorku poeta pozostawił w spuściźnie: "Sonety Itambeńskie", kilka wierszy lirycznych, rozsianych po czasopiśmie emigracyjnym, i pamiętnik, który w ostatnich latach pisał z dnia na dzień.

(jk)

KOMITET TYSIĄCLECIA W KURYTYBIE

Parański Komitet Tysiąclecia Państwa Polskiego z siedzibą w Kurytybie rozwija coraz szerszą działalność. Poza zbiórką funduszy na budowę szkół w Polsce Komitet urządza imprezy kulturalne, mające na celu zaznajomienie społeczeństwa miejscowego ze zdobyczami kulturalnymi Polski na przestrzeni tysiąca lat jej dziejów. Szczególnym powodzeniem cieszą się filmy polskie.

Komitet ma na swym koncie: zorganizowanie wystawy malarzy polskich oraz występów znanej pianistki Lidii Grychtolów-

ny. Zasiłgą Komitetu jest również urządzenie akademii związanych z rocznicami narodowymi, oraz okazywanie pomocy Grupie Folkloru Polskiego.

W skład Komitetu wchodzi szereg działaczy społecznych znanych ze swej postawy narodowej.

Komitet rozesał do interioru parańskiego kilkadziesiąt list zbiorczych. Pierwszym, który się odezwał, był Br. Olszewski z Arapongas, który nadesłał listę z uzbieraną kwotą. Wykaz ofiarodawców ogłoszony został w "Ludzie".

POLSKA GRUPA FOLKLORYSTYCZNA

Istniejąca w Kurytybie zaledwie od kilkunastu miesięcy Polska Grupa Folklorystyczna zdobyła sobie w tutejszym społeczeństwie uznanie i podziw dla wytrwałości i wysokiego kunsztu artystycznego.

Na czele Grupy, jako jej przewodniczący, stoi obecnie Paweł Filipak; jego zastępcą jest Jan Kozak. Niezmordowanym kierownikiem chóru jest ks. Józef Zając, zespół taneczny prowadzi dr Halina Marcinowska. Kierownikiem artystycznym jest prof. Tadeusz Morozowicz. Repertuar zespołu składa się obecnie z 26 piosenek (w tym 5 brazylijskich) na 4, 5 i 6 głosów oraz z 6 numerów tanecznych.

Zorganizowana w tej grupie młodzież uzyskała w czasie licznych swych występów ogromne sukcesy. Nazywa się ją w Paranie parańskim Mazowszem. Prasa kurytybska ocenia zespół polski bardzo wysoko i nie szczędzi mu pochwał. Wysoki poziom artystyczny zespołu i wspaniałe polskie stroje regionalne wywołują na widowni niezmiennie zachwyt i uznanie.

Dzięki sukcesowi osiągniętemu na występie grup folklorystycznych w Kurytybie w r. ub. w Dniu Narodów zespół otrzymał wiele zaproszeń na występy m.in. w Rio de Janeiro, São Paulo i Porto Alegre. Rozentuzjasmowani rodacy nie chcieli go puścić ze sceny w Afonso Pena, Murici, Araukarii i Campo Largo oraz w wielu innych miejscowościach, w których występował.

Polska Grupa Folklorystyczna zasłużyła w pełni na nazwę ambasadora kultury polskiej na terenie Brazylii. Członkowie Grupy wkładają w swą pracę wiele poświęcenia. Pracując lub ucząc się nie szczędzą wolnego czasu na próby i występy, a nierzadko i pieniądze. Dobrze było by, aby rodacy, zachwycający się występami zespołu, objawiali nie tylko swą sympatię, ale również przychodzili mu z pomocą materialną. Nadarza się właśnie piękna okazja: w sprzedaży znajdują się proporczyki, zysk z których przeznaczony jest na pokrycie kosztów związanych z utrzymaniem zespołu.

Jak nas poinformował ks. Józef Zając w najbliższym czasie zespół zamierza występować z własną orkiestrą, która pod jego wytrawną dyрекcją, w krótkim czasie będzie od tego odpowiednio wyćwiczona.

(jk, sa)

BŁĘDY DRUKARSKIE

W ARTYKULE: "W pracowni rzeźbiarskiej Haliny Głogowskiej" w ustępie czwartym powinno być: "Mieszkanie jasne, przestrzenne, na ścianach kilka dobrych reprodukcji impresjonistów..." zamiast jak zostało złożone: "Mieszkanie jasne, przestrzenne, produkcji impresjonistów..."

W SZKICU: "Mama" pióra Miry Lampe-Stawińskiej na końcu str. 13 zamiast: "z wojennej soczystej gleby rodzinnej" powinno być: "z wonnej soczystej gleby rodzinnej" i na teście stronicy w ustępie przedostatnim w kolumnie drugiej zamiast: "... przyczajona za najlepszym z obłoków" ... powinno być: "... przyczajona za najbielszym z obłoków..."

NAGRODY DLA CZYTELNIKÓW

Następujący nasi Czytelnicy i współpracownicy zostali obdarowani książkami: Stanisław Koszutski "Westerplatte". Andrzej Zajączkowski "Oberlangen". Stanisław Ossowiecki "Oberlangen". Zygmunt Wieliczka "Brunatni siewcy śmierci".

FUNDUSZ PRASOWY

Lista ofiarodawców

1. Anonimowo, São Paulo	3.000,00
2. Anonimowo, São Paulo	3.000,00
3. Industria Inaja, São Paulo ..	4.000,00
4. Józef Wilk, Erechim	100,00
5. Bolesław Cybulski, Erechim ..	20,00
6. Carlos Stodulski, Erechim ..	10,00
7. Luz - Ar, São Paulo	500,00
8. Borys Czernorucki, São Paulo ..	200,00
9. Andrzej Zajączkowski, S. Paulo	500,00
10. Jan Angielczyk, São Paulo ..	200,00
11. Arnold Rejsfeld, São Paulo ..	1.000,00
12. Książę R. Sanguszko, São Paulo	1.500,00
13. Wład. Magierowski, S. Paulo	500,00
	14.530,00

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

★

CZY OPŁACIŁEŚ JUŻ
PRENUMERATĘ ZA ROK 1961?

JAN CHOROŚNICKI

Nazajutrz po zgonie tego zasłużonego nauczyciela, działacza społecznego i publicysty czytaliśmy w prasie kurytybskiej:

— Odszedł jeden z zasłużonych weteranów prasy parańskiej.

Jan Chorośnicki urodził się w r. 1875 w Jarosławiu w Małopolsce. Po ukończeniu gimnazjum i szkoły rolniczej w kraju dalsze studia rolnicze odbywał w Szwajcarii, a następnie we Francji w słynnej Szkole Agromicznej Grignon-Versailles.

Wichry rewolucyjne 1905 roku skłoniły Chorośnickiego do emigracji za ocean. Wkrótce po wylądowaniu na ziemi brazylijskiej osiada w nowoorganizującej się kolonii polskiej Afonso Pena koło Kurytyby. Tu zajmuje się nauczaniem dzieci świeżo przybyłych emigrantów z Lubelszczyzny.

Następnie, poświęca się pracy pedagogicznej na szerszą skalę. Zakłada Gimnasio "Iguacu" w mieście municypalnym Araucária. Była to pierwsza tego rodzaju uczelnia w okolicy, nie więc dziwne, że już wkrótce zapelniała się uczniami pochodzenia polskiego.

Staraniem Chorośnickiego powstaje chór i zespół teatralny pod jachowym kierownictwem Zdenki Gayer, późniejszej jego małżonki, oraz Marii Dzięńskiej (czy Deczyńskiej?). Scenariusze, odpowiadające duchowi narodowemu i mentalności środowiska, Chorośnicki pisywał sam.

W r. 1920 Chorośnicki przenosi gimnazjum "Iguacu" do Kurytyby, powiększa ilość klas i angażuje wybitnych nauczycieli jak: Artur Loiola, João Loiola, dr. Waldomiro

Teixeira de Freitas, Alfredo Parodi i ks. Jan Peters.

W 1922 Chorośnicki sprzedaje zakład naukowy nauczycielowi Alfredo Parodi, ponieważ powołany zostaje na zaszczytne stanowisko w parańskim Departamencie Rolnictwa.

W latach 1930-ych obejmuje redakcję "Gazety Polskiej w Brazylii". Od tej pory poświęca się wyłącznie pracy dziennikarskiej zarówno w redagowanej przez siebie "Gazecie", jak i w prasie brazylijskiej. Pozostawił po sobie mnóstwo prac publicystycznych i literackich.

W r. 1940 zostaje korespondentem Agencji Prasowej Reutera. Jednocześnie współpracuje z agencjami prasy holenderskiej, francuskiej, czeskiej i chińskiej; jest również przedstawicielem prasowym British News Service. Prasę brazylijską zasila tematyką z dziedziny kulturalnej, artystycznej i politycznej, naświetlając m. in. okrucieństwa okupacji hitlerowskiej w Polsce.

W okresie wojennym i powojennym poświęca niemal bez reszty swój wolny czas sprawie obrony interesów polskich.

Był to człowiek niezwykle pracowity, zawsze zaharowany. Mimo to cieszył się do końca wyjątkowym zdrowiem.

W r. 1938 został odznaczony przez Polską Akademię Literatury srebrnym medalem, zaś w r. 1941 otrzymał Krzyż Zasługi od rządu gen. Władysława Sikorskiego.

Umarł w Kurytybie dnia 12 marca 1954 r.

PIAST

remu proboszczuje dzielny ks. Zygmunt Gdaniec. W kościele brzmi język polski. Ks. Gdaniec buduje przy pomocy kolonii wielki Dom Parafialny dla spraw kulturalnych. Szkołę rządową prowadzi dwaj nauczyciele polscy. Kierownikiem jest zdolny wychowawca, ze starej emigracji, prof. Sobczak, świetnie władający językiem znad Wisły. Naukę pobiera średnio 30 dzieci polskich, które władają — dzięki swym matkom — czystą polszczyzną, aż się serce raduje.

Ostatnio osiedlił się na kolonii stary riograndeński działacz polonijny — były nauczyciel Stanisław Pylak. Ma on za sobą również działalność niepodległościową (POW) w Polsce i służbę ochotniczą w Armii gen. Sikorskiego w okresie ostatniej wojny. Pylak szybko się zorientował, że młode potomstwo na Campo Novo, pomimo znajomości mowy polskiej, nie czyta i nie pisze po polsku. Od czegoż są elementarze Falskiego i dobra wola każdego pedagoga? Dziś ma już blisko 30 uczniów na kursach. Pylak zakłada teatr i chór. Na "Godne Święta" rodacy podziwiali Jasienka Polskie.

Pocieszającym zjawiskiem na tej kolonii jest harmonijna współpraca osadników, księdza proboszcza Gdańca, kierownika szkoły rządowej Sobczaka oraz lektora języka polskiego — St. Pylaka. Dzielnie współdziałają z nimi miejscowi kupcy i przemysłowcy, o których wyżej wspominam. Jednym słowem — mieszkańcy tej pięknej, acz w lasach zaszytej kolonii, stanowią zgraną rodzinę. Jest to piękny zaatek jej rozwoju gospodarczego, kulturalnego oraz utwierdzenia w młodym pokoleniu mowy ojców obok języka nowej ojczyzny.

W drodze powrotnej zahaczyliśmy o ośrodek wielkiej kolonii Virmond. W rozległej okolicy mieszka kilkaset rodzin polskich. Zamieszkuje tu 72-letni Władysław Radecki, były kierownik kolonizacyjny tych okolic oraz jego siostra, p. Zofia Krygierowa, wdowa po byłym nauczycielu polskim. Córka p. Krygierowej jest nauczycielką rządową i świetnie włada, jak i reszta dzieci, językiem polskim. Tak Radecki, były nauczyciel polski, jak i p. Krygierowa czytają prasę krajową. Niektórzy osadnicy zgłaszają się do nich po elementarze polskie, których nie brak zwłaszcza u p. Krygierowej. Nauczanie młodego pokolenia języka ojców odbywa się samorzutnie, chociaż przyznać trzeba, że p. Krygierowa nie żałuje wysiłków i swego wpływu na matki. Powiedziała ona:

— Żywy jest w tych stronach zew krwi i sentyment dla starego kraju, trzeba go jednak stale podniecać. Cała odpowiedzialność spada na matki. Wpływam na nie jak mogę i w wielu rodzinach duch się budzi. Przydałoby mi się nieco prasy ilustrowanej, którą rzadko widuję. Cóż mówić o polskich płytach i filmie? Świat deskami zabity... — kończy p. Krygierowa.

* * *

W Guarapuawie mamy sporo rodzin polskich. Syn Michała Sekuły — Stanisław oraz zięć — Stanisław Dunin służyli jako ochotnicy u gen. Sikorskiego. Syn Dunina, Polan kończy kursy muzyki fortepianowej — wielki miłośnik Chopina. Zamieszkuje tu również poeta i miernik — inż. Jan Rysiec. W tych rodzinach i wielu innych kwitnie duch polski.

WOJCIECH BREOWICZ

KOLONIA JAGODA W PARANIE

W odległości ponad 500 km. na zachód od stolicy Parany istnieje od lat trzydziestych rozległa kolonia polska Jagoda — obecnie Campo Novo. Zajmuje bardzo żyzne i prawie równinne tereny nad wielką rzeką Iguacu i jej dopływami: Rio das Cobras, Guarani i Campo Novo. Zamieszkuje tu około 300 rodzin polskich. Część z nich przybyła z Polski w okresie międzywojennym, część zaś to potomkowie starej emigracji chłopskiej, osiedlonej kiedyś w stanie Rio Grande do Sul. Porzucając tereny wyjałowione, osiedli w puszczy nad Iguacu. Do niedawna była Jagoda najdalej w puszczy zachodniej Parany wysuniętą kolonią polską. Ostatnio rodacy nasi wysuwają się coraz dalej, zajmując nowe tereny na zachodzie i północy stanu.

Ciężkie tu były początki. Walczono z potęgą dżungli, klimatem i bezdrożami. Mieszkano w szałasach i odżywiano się byle jak. Produkty rolne zbywano za beecen, fabrykaty zaś przepłacano. Wszystko jednak zwyciężył chłopski upór i ręce żylaste. Dziś kolonia nieźle stoi pod względem gospodarczym.

* * *

Mijamy po drodze ludne środowiska polonijne, jak Campo Largo, Palmeira, Papagaios Novos, Irati, Gonçalves Junior, Itapera, Guarapuava, Cantagalo, Virmond, Laranjeiras do Sul i inne, które zwracają na siebie uwagę polskim stylem domów i budynków gospodarczych, sadów, a zwłaszcza pięknymi polaciami pól obsianych pszenicą, kukurydzą, ryżem i kartoflami. Chłop polski, aby jako tako gospodarzyć, ciągle bywa zaharowany i umorusany, nie zna niedzieli ani

święta. Praca tu cięższa niż w kraju, bez sprzętu technicznego, polegająca na fojsie, motyce, oraz ręcznym pieleniu i zbiorze — posiada jednak swoisty urok.

* * *

Osadnicy na Campo Novo plantują kukurydzę, pszenicę, kartofle, mandiokę, soję, fasolę, trzcinę kukrową, hodują nierogaciznę, bydło, konie i ptactwo domowe. Z trzciny produkują cukier i wódkę. Świnie i inne produkty rolne skupują miejscowe domy handlowe Jana Dysarza i Jakubowskiego. Pszenicę i inne zboża miela młyny Aleksandra Siejki, Antoniego Praśniewskiego i Aleksandra Merlaka — w tym dwa walcowe, importowane z Polski. A. Praśniewski zaopatruje kolonię w tarte drzewo z własnego tartaku. Bracia Sokolowicze posiadają warsztat mechaniczny, którego może im pozazdrościć niejedno miasto. Zakład mechaniczny posiada również Piotr Kuźbik. O Sokolowiczach można powiedzieć, że są wzorem pracowitości i talentu organizacyjnego. Warsztaty i łuszczeniarnie ryżu pędzi im siła elektryczna — wyczarowana z przebiegającej opodal rzeczulki. Oświeśla im również obejście. Wystarczy zobaczyć przeprowadzoną "czterema rękami" kanalizację, zapory, wieżę turbinową, by nabrać najwyższego szacunku dla znoju chłopca polskiego w Paranie. Ładną fabryczkę stolarską posiada Eugeniusz Jaremczuk. Zygmunt Potulski założył hotel i sklep. Podobny sklep ma również rodzina Sokolowiczów. Młody gospodarz Jerzy Semenik założył pole doświadczalne dla nowej odmiany kartofli.

W kolonii istnieje kościół polski, któ-

PRZEMYSŁ SAMOCHODOWY W BRAZYLII

WACŁAW MAZARAKI

Na 120 milionów wozów, znajdujących się w ruchu na świecie w roku 1959, Brazylia posiadała około miliona, łącznie — wozów osobowych, autobusów i ciężarówek.

Szacując ludność Brazylii w tym okresie na około 65 milionów wypada 1 samochód na 65 mieszkańców w porównaniu do 1:16 w Afryce Południowej, 1:4 w Australii i 1:2,6 w Stanach Zjednoczonych.

W roku 1959 Stany Zjednoczone posiadały 77 milionów wozów, w tym — 66 milionów samochodów osobowych i 11 milionów wozów ciężarowych.

Cechą charakterystyczną Brazylii jest dominujące stanowisko ciężarówek w stosunku do wozów osobowych, wyrażające się proporcją: 1:1 podczas, gdy w Stanach Zjednoczonych jedna ciężarówka wypada na pięć wozów osobowych. Aby dorównać Stanom Zjednoczonym Brazylia musiała by posiadać 1 ciężarówkę na każdym 15 mieszkańców, czyli 4.300.000 wozów ciężarowych zamiast posiadanych 500.000.

Do roku 1957 Brazylia była zależna od zagranicznego przemysłu samochodowego. Własny przemysł samochodowy Brazylii został zorganizowany dopiero w tym właśnie roku.

PRODUKCJA ŚWIATOWA SAMOCHODÓW W R. 1958 W 1.000 jednostek

K r a j	Ciężarówki i autobusy	Wozy osobowe	Ogółem
Stany Zjednoczone	874	4.247	5.121
Wspólnota Brytyjska	313	1.052	1.365
Japonia	237	51	288
Francja	204	924	1.128
Niemcy Zachodnie	188	1.307	1.495
Kanada	59	297	356
BRAZYLIA	43	19	62
Włochy	35	369	404
Szwecja	21	69	90
India	19	8	27
Czechosłowacja	15	43	58
Inne kraje	32	183	215
Ogółem (*)	2.040	8.569	10.609

*) Wyłączając ZSRR, której danych statystycznych autor nie posiada.

Brak zorganizowanych dróg wodnych, uboga i nieprzelotna sieć kolejowa — tworzą atmosferę przychylną na rzecz transportu samochodowego w Brazylii. W warunkach geopolitycznych kraju rozbudowa dróg kołowych jest mniej kosztowna, niż reorganizacja sieci kolejowej.

INTENSYWNOŚĆ RUCHU NA DROGACH W STANIE SÃO PAULO

Rok 1949 — wskaźnik 100

Rok	Drogi kołowe	Drogi kolejowe
1947	92	98
1951	117	124
1953	162	122
1958	203	137

Wojna światowa przyspieszyła proces krystalizacji. Dopływ materiału transportowego został zahamowany, z drugiej zaś strony otworzyły się wielkie możliwości dla surowców brazylijskich. Doświadczenia wojny opłacało się dać każdą cenę za transport od miejsca produkcji do portu załadunku.

W roku 1940 powstają spontanicznie pierwsze fabryki części samochodowych, które ułatwiają utrzymanie w ruchu egzystującego taboru samochodowego.

FABRYKI CZĘŚCI SAMOCHODOWYCH W RUCHU

Rok	Ilość fabryk	Rok	Ilość fabryk
1940	5	1955	520
1946	30	1956	700
1948	20	1957	860
1952	250	1958	1.000
1953	300	1959	1.220
1954	360		

Zapasy dewiz zagranicznych podczas konfliktu rozplynęły się z chwilą, gdy zrekonwertowany przemysł Stanów Zjednoczonych zaczął eksportować dobra konsumpcyjne. W roku 1951 Brazylia importowała 100.402 wozy różnych typów, w roku 1952 — 95.648.

Smutne doświadczenia z okresu wojny, kiedy towary wyprodukowane w głębi kraju uległy zepsuciu wskutek braku transportu, skłoniły do zaalarmowania opinii publicznej. Społeczeństwo zażądało ochrony młodego przemysłu części samochodowych jako też produkcji własnych środków transportowych.

Powstaje komisja, której celem jest rozwiązanie problemu transportowego w Brazylii. Prace komisji mają na względzie niezależnienie kraju od zagranicy i pośrednio obronę bilansu handlowego, nadszarpniętego przez import samochodów.

Potrzeby transportowe kraju okazały się tak wielkie i tak terminowe, a rozporządzalne środki tak skromne, że postanowiono zwerbować do współpracy inicjatywę prywatną, zarówno krajową jak i zagraniczną. Jako inicjatywę rozumiemy połączone wysiłki kapitału i "know how".

Ukoronowaniem prac komisji było wydanie dekretu n.º 39.412 z dnia 16 czerwca 1956 r. powołującego do życia organ specjalny zwany "GEIA" (Grupo Executivo da Indústria Automobilística). Organ ten miał na celu kierowanie inicjatywą prywatną dla wykonania planu produkcji samochodów. Plan ten stanowi część składową pięcioletniego planu ekonomicznego rozbudowy kraju zwanego: "Metas do presidente Kubitschek".

PLAN PRODUKCJI SAMOCHODÓW I JEGO WYKONANIE

Rodzaj wozów	Plan	Wykonanie
1957		
Ciężarówki i autobusy	18.847	23.364
Wozy osobowe i jeep'y	11.853	11.712
Ogółem	30.700	35.076
1958		
Ciężarówki i autobusy	32.000	36.007
Wozy osobowe i jeep'y	35.000	25.608
Ogółem	67.000	61.615
1959		
Ciężarówki i autobusy	55.000	47.568
Wozy osobowe i jeep'y	55.000	48.101
Ogółem	110.000	95.669

W roku 1959 istniało w Brazylii 11 fabryk samochodów, które łącznie fakturowały 73 biliony kruzeyrów, kwotę stanowiącą 50% pieniędzy znajdujących się w tym okresie w obiegu.

W tymże roku fabryki samochodów zatrudniały 30 tys. pracowników, a przemysł pomocniczy, wytwarzający części i karoserie około 90.000, łącznie 120 tys. Jeżeli dodać do tej liczby rodziny pracowników to można przyjąć, że ok. 600 tys. osób czerpie środki utrzymania z przemysłu samochodowego, żyjąc dostatnio, ponieważ przemysł ten zalicza się do wyższej kategorii pod względem płac.

Dokończenie na str 25

U w a g a !

WSZYSTKIE PISMA I CZASOPISMA POLSKIE
można zaprenumerować w Rio de Janeiro w firmie

"M. KISIEL"

Av. Rio Branco 18. sala 407

Wielki wybór czasopism z dziedzin naukowych i technicznych, również w językach: angielskim, francuskim, rosyjskim, hiszpańskim i niemieckim. Czasopisma religijne; pisemka dla dzieci i młodzieży; szachowe, brydżowe, sportowe; z dziedziny sztuki, filmu, teatru, czasopisma handlowe. Poradniki techniczne, rzemieślnicze, rolnicze itd.

PRENUMERATA ROCZNA

NUMERY OKAZOWE DO PRZEJRZENIA

Do nabycia również Kalendarz POLONII na rok 1961, w pięknym, książkowym wydaniu. Cena Cr\$ 100,00.

WARTOŚĆ WOZÓW SPRZEDANYCH NA RYNKU

W ROKU 1959

W milionach kruzeyrów

Wozy ciężarowe i autobusy	Wartość	Wozy osobowe	Wartość
General Motors do Brasil	14.416	Willys do Brasil	13.520
Ford do Brasil	14.051	DKW - Vemag	3.771
Mercedes Benz do Brasil	12.897	Volkswagen do Brasil	8.380
Fabrica Nacional de Motores	3.104	Simca do Brasil	884
International Harvester	902	Toyota	251
Scania Vabis	1.072		
Razem	46.442		26.806
Ogółem milionów kruzeyrów			73.248



Soc. Paulista de Instalações Gerais Ltda.

PROJETOS — INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS
ELETRICIDADE — MECÂNICA — HIDRÁULICA

—O—

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 — (Rêde Interna)

End. Telegr.: "SPIGERAL" — SÃO PAULO

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O
MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

— ★ —

FOTO SAWI

Henryk Wisen

Aparaty fotograficzne Rolleiflex, Leica,
Contax i inne.

Zamiana, kupno i sprzedaż
Najkorzystniejsze ceny!

Conselheiro Crispiniano, 40, — Telefone: 36-0670
SÃO PAULO

W roku 1960 90% ciężarówek oraz 95% autobusów i niektórych typów wozów osobowych wyprodukowano niemal całkowicie z materiałów i części krajowych (w wozach tych części składowe importowane wynosiły nie więcej, niż 5% całości).

Dla Polaków warto wspomnieć, że przemysł samochodowy w Brazylii powstał i rozwinął się tak błyskawicznie dzięki inicjatywie naszego rodaka Alfreda Jurzykowskiego, założyciela fabryki Mercedes Benz do Brasil S.A.

Przemysł samochodowy brazylijski jest przykładem tego co można osiągnąć, gdy inicjatywa prywatna współpracuje harmonijnie z czynnikami rządowymi w wykonaniu planu nakreślonego przez fachowców.

Poniżej podajemy dane dotyczące produkcji samochodów w Brazylii w roku 1960.

PRODUKCJA SAMOCHODÓW W BRAZYLII w r. 1960

Fabryka	Ciężarówki i autobusy	Wozy osobowe	Razem
Ford	8.565	—	8.565
General Motors	7.584	91	7.675
Mercedes Benz	5.234	—	5.234
Fabrica Nacional de Motores	1.204	—	1.204
International Harvester	775	—	775
Scania Vabis	289	—	289
Willys Overland	—	15.207	15.207
Volkswagen	—	11.519	11.519
DKW - Vemag	—	3.947	3.947
Simca	—	1.384	1.384
Toyota	—	277	277
Ogółem			
1 półrocze	23.651	32.425	56.076
2 półrocze	27.573	49.250	76.823
Razem w roku 1960	51.224	81.675	132.899

W roku 1961 zdolność produkcyjna wszystkich fabryk łącznie wyniesie ok. 200 tys. wozów. Rynek brazylijski nie jest w stanie pochłoniąć takiej ilości, mówi się więc poważnie o eksporcie na rynki krajów Ameryki Łacińskiej. Przewiduje się, że na rynku brazylijskim można będzie sprzedać ok. 140 tys. wozów w roku 1961.

WACŁAW MAZARAKI



**WARSZTAT NAPRAWY MASZYN
DO PISANIA I LICZENIA**

Inż. Feliks Wiśniewski

Kupno i sprzedaż maszyn.
Części zamienne stale na składzie.

KONSERWACJE MIESIĘCZNE

Usługi gwarantowane.

Wieloletnia fachowość

TEL. 34-2455

São Paulo, Rua dos Timbiras, 514 s. 5
(Esquina Av. São João)

UCIECZKA

(Dokończenie ze str. 12)

gios niemowlęcia. Owinął je niezdarnie w szmaty na prędce wygrzebane z tobołu i podsunął zawiniątko leżącej nieruchomo żonie.

— Co? — zapytała szeptem.

— Nie wiem — przyznał wstydliwie.

Oddech kobiety stawał się coraz spokojniejszy. Ziemba nie mógł uwierzyć, że to już koniec. Zdawało mu się, że jeszcze czegoś brak. Dopiero kiedy spojrzał na niebo i zobaczył jak zaróżowiło się ponad grzebieniem gór zrozumiał, że cierpienia jego i żony trwały kilka godzin. Doznał naraz uczucia ulgi.

Przykucnął koło ogniska i oddał się marzeniom. Jeżeli to chłopiec, ho! ho! — czego on nie dokona z synem. Nie będzie chyba takiej przeszkody, której nie pokona. Uśmiechnął się do tych myśli. Już mu puszcza nie była straszna. Poczł w sobie krzepę i odwagę. Spojrzał na żonę. Pierś jej unosiła się miarowym oddechem, a na bladej twarzy wykwitł ledwie widoczny uśmiech.

Wiadomości z Kraju

JAK SIĘ ODŻYWIAJĄ, UBIERAJĄ I JAK MIESZKAJĄ LUDZIE W KRAJU

Ośrodek Badania Opinii Publicznej w Kraju przeprowadził ankietę wśród 1500 mieszkańców miast. 80% odpowiadających stanowiły kobiety, a 1/4 mieszkańcy najliczniejszych w Polsce miast od 20 do 100 tysięcy.

Na pytanie dotyczące oceny warunków żywienia swej rodziny, blisko 1/4 odpowiadających ocenia je jako bardzo dobre (23,7 proc.), ponad połowa (58 proc.) jako średnie, a 1/6 (16,7 proc.) jako złe.

Jeżeli chodzi o zaopatrzenie rodziny w odzież i obuwie, ponad połowa badanych odpowiedziała, że jest ono średnie (56,6 proc.), jedna piąta jest całkowicie z niego zadowolona (20,9 proc.) i prawie tyle samo (21,9 proc.) uznało zaopatrzenie rodziny za złe.

Trochę trudniej skomentować odpowiedź na pytanie ankiety: — Na co wydałby Pan dodatkowe zarobki, gdyby nagle zaczął Pan zarabiać o 30-40 proc. więcej niż obecnie?

Otóż niemal tyle samo odpowiedzi (71,5 proc. i 72,4 proc.) dotyczyło lepszego żywienia, oraz odzieży i obuwia.

ogóle w kraju, w odniesieniu do tego rodzaju potrzeb, kontrasty są o wiele większe niż w stosunku do żywienia i ubrania.

Autorzy ankiety odnośnie omawianych punktów wyprowadzają wniosek, że

— główny kierunek wydatkowania wzrastających dochodów to poprawa żywienia i ubrania,

— trzecią co do wielkości pozycją, obejmującą blisko połowę wypowiedzi są deklaracje zwiększenia wydatków na rozrywkę,

— z artykułów trwałego użytkowania największym zainteresowaniem cieszą się motocykle (ok. 12 proc. wypowiedzi) oraz telewizory (ok. 6 proc. wypowiedzi).

A na zakończenie jeszcze ciekawostka: pytano ankietowanych również, czy zamierzają oszczędzać na jedzeniu, aby móc kupić sobie coś cenniejszego. Okazało się, że zaledwie 30 proc. pytanym uważa takie postępowanie za słuszne, inni odpowiedzieli, że na odżywianiu nie powinno się oszczędzać.

A ile można oszczędzić odpowiedziałoby chyba niewielu py-

Dziedzina potrzeb	Stopień zaspokojenia potrzeb proc.		
	b. dobre i dobre	średnie	złe
mieszkania	31,6	30,6	37,3
meble	23,3	45,2	29,7
wyposażenie gospodarstwa w sprzęt gosp. domowego	19,6	42,3	35,2
rozrywki i wypoczynek	12,4	29,4	48,9

Ocena stopnia zaspokojenia pozostałych potrzeb układu się nieco odmiennie od oceny poziomu żywienia i ubrania.

Znaczne zwiększenie udziału ocen krańcowych (b. dobre i złe) pozwala przypuszczać, że w

tanych, chyba i to niedokładnie, gdyż regularne rachunki domowe prowadzi ledwie 23 proc. badanych rodzin, 38 proc. prowadzi je od czasu do czasu, a 37 proc. nie zapisuje ich nigdy.

padzie — gdy temperatury wzrastała w listopadzie znacznie przekraczały normę.

Bardzo podobny był również grudzień sprzed pół wieku — średnia temperatura wynosiła PLUS 2,4 ST. podczas gdy normalna wieloletnia wartość dla Warszawy wynosi MINUS 1,3 st. Warto dodać, że grudzień 1960 r. pobił wszelkie rekordy i w niektórych dniach termometry wskazywały powyżej 10 st. ciepła, a średnia znacznie przekroczyła wartość średniej wieloletniej.

Pierwsza połowa stycznia 1911 r. powtórzyła się niemal do-

kładnie po 50 latach — było również ciepło, temperatury w ciągu dnia wahały się ok. plus 4 st., a w nocy nie spadały poniżej minus 3—4 st. Średnia wyniosła MINUS 0,5 ST, podczas gdy średnia normalna, wieloletnia wynosi AŻ MINUS 2,9 ST!

Dopiero pod koniec stycznia, w dniach 28—29.1911 r. przyszły mrozy, ale nie były zbyt silne ani długotrwałe. Z początkiem lutego temperatura znów podniosła się powyżej 0 st. Dopiero od 6 lutego uderzyła fala silniejszych mrozów. Termometry wskazywały w Warszawie w nocy do ok. minus 20 st., a w dzień do ok. minus 12—14 st. Po 15 lutego, znów zaczęło się ocieplać, a przy koń-

cu tego miesiąca termometry wskazywały DO PLUS 10 ST.

Sensacyjny przebieg miała wiosna z roku 1911. Początki marca były bardzo ciepłe — temperatura nawet w nocy nie spadała poniżej minus 1 st., a pod koniec II dekady marca zaczęła się prawdziwa wiosna o temperaturach początkowo do plus 14—15 st., a przy końcu miesiąca aż do plus 20 st. w dzień i do plus 5—7 st. w nocy.

Po tej wyjątkowo łagodnej zimie i bardzo wczesnej wiosnie lato 1911 r. było bardzo ciepłe. Średnia temperatura czerwca wyniosła w Warszawie 17,6 st. (średnia wieloletnia 16,8 st.), lipca aż 19,9 st. (normalna średnia 18,6 st.) a w poszczególnych dniach notowano po 31 st. w cieniu.

PIERWSZE WYNIKI SPISU POWSZECHNEGO

29.731 TYS. LUDNOŚCI — 22 MIASTA — PONAD 100 TYS. — 38,2 PROC. LUDNOŚCI UTRZYMUJE SIĘ Z ROLNICTWA — PRZEWAGA KOBIET MAŁEJE

W dniu spisu, a więc 6.XII. 1960 r. Polska liczyła 29.731 tys. mieszkańców. Oznacza to — 96 mieszkańców na 1 kilometr kwadratowy. Chociaż w ciągu ostatnich 10 lat ludność Polski zwiększyła się o 18,9 proc. to jednak przyrost naturalny w ostatnich latach maleje. W 1950 r. wynosił on 19,1 promille, potem osiągnął szczyt w latach 1953 oraz 1955, kiedy na każde 1000 mieszkańców przybywało nam 19,5 osoby. Wreszcie po kilku latach tendencji spadkowej, przyrost ten wyniósł w 1960 r. 14,9 promille.

Wstępne wyniki spisu wskazują na duże zmiany jakie zaszły w strukturze ludności według płci. Mamy obecnie w kraju 14.374,4 tys. mężczyzn i 15.356,6 tys. kobiet. Jednakże przewaga kobiet znacznie się zmniejszyła. Jeśli bowiem w

1946 r. na 100 mężczyzn przypadało 118,5 kobiet, to w roku 1950 109,7 a obecnie 106,8.

Uprzemysłowienie kraju i proces urbanizacji przyniósł zwiększenie ludności miast i osiedli. W ciągu ostatnich 10 lat zwiększyła się ona o 46,6 proc. Wyrazem tej samej tendencji jest także zwiększenie się liczby miast powyżej 100 tys. mieszkańców z 16 w r. 1950 do 22 w r. 1960. W miastach tych żyje obecnie ponad 6 mln osób. W miastach powyżej 100 tys. ludności najbardziej zwiększyła się liczba mieszkańców Białegostoku — bo o 76,4 proc. (obecnie 120 tys.), następnie Radomia — o 62 proc. (130 tys.) oraz Gdańska — o 47,2 proc. (286 tys.).

Największą rewelacją spisu są dane dotyczące ludności według głównych źródeł utrzymania. Pod tym względem zaszły w ciągu tych 10 lat zmiany ogromne. Udział ludności, której głównym utrzymaniem jest rolnictwo, zmalał w latach 1950-1960 z 47,1 proc. do 38,2 proc.

Duże zmiany zaszły też w strukturze ludności według wieku. Stajemy się społeczeństwem coraz młodszym. Udział dzieci i młodzieży do lat 15 zwiększył się w ogólnej liczbie ludności z

NA WEEK-ENDY I WAKACJE

przyjmuje miłych gości

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO

1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery, konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska i jarska. CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i 1/2 godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Osasco, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub Caixa Postal, 6335, São Paulo.

31,7 proc. do 35,3 proc. Równocześnie zwiększył się też odsetek osób w wieku 60 lat i więcej z 8,5 proc. do 9,6 proc. Zjawisko to ma również swoją drugą stronę medalu, gdyż wskazuje, że na ludności w wieku produkcyjnym spoczywa coraz większy obowiązek utrzymania pozostałych grup. Na jedną osobę w wieku 16-59 lat przypada omalże 1 osoba w wieku nieprodukcyjnym. Oczywiście jest to z jednej strony wynikiem dużego przyrostu naturalnego, zwłaszcza do roku 1956, z drugiej zaś — przedłużenia życia osób starszych. Udział ludności w wieku produkcyjnym jest znacznie wyższy w miastach i osiedlach (57,9 proc.) niż na wsi (52,4 proc.).

Oczywiście poszczególne województwa wykazują duże odchylenia od przeciętnej. Najbardziej odmłodziły się północno-zachodnie rejony naszego kraju. W woj. koszalińskim ludność w wieku do lat 15 stanowi 43,3 proc., w woj. zielonogórskim 41,4 proc., w woj. olsztyńskim i szczecińskim — 41,2 proc., a w woj. wrocławskim 40,9 proc. Tymczasem w Warszawie na przykład młodzież do lat 15 stanowi 27,5 proc., w Krakowie 27,8 proc., w woj. katowickim 30 proc. Z kolei najwięcej ludności od 60 lat i więcej ma woj. łódzkie 11,5, białostockie — 11 proc., oraz poznańskie i warszawskie wraz z Warszawą.

JESZCZE W SPRAWIE OPLAT CELNYCH

KONIEC "CELNEGO KOTA W WORKU"

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne artykuł pt. "Celny kot w worku", który przedrukowaliśmy z Życia Warszawy w nr. 7 naszego pisma. W związku z tym artykułem Życie Warszawy pisze:

Posłużyliśmy się listami Czytelników, wskazujących na wadliwość procedury wręczania adresatowi spisu zawartości paczki wyrażonego w formie symboli zrozumiałych jedynie dla wykwalifikowanych celników, natomiast pozostawiających obywatela w błogiej i pełnej ryzyka nieświadomości tego co go czeka po "zerwaniu pieczęci". Udowodniliśmy, że jest to procedura sprzeczna i z logiką i z prawami obywatela. Ten "celny kot w worku" zmuszał obywatela do wykupienia — i to za dużą sumę — paczki o nieraz skandalicznej zawartości, paczki, która nie tylko ze względów finansowej nieopłacalności, ale także ze względów prestiżowych powinna była pozostać niewykupiona.

Pisaliśmy wówczas także, że pełne spisywanie zawartości paczki może w pewnym stopniu wpłynąć na opóźnienie w odprawie paczek. Warto zanoto-

wać, że choć taka procedura stanowi oczywiste obciążenie i tak przeciążonego pracą personelu celnego, to jednak nie trzeba się wielkiego "korka" obawiać.

Wracamy więc w stosunkach władzy celnej z obywatelem do zasady jawności procedury i wygody adresata.

MOŻNA WYŚYLAĆ DO POLSKI UŻYWANĄ ODZIEŻ

Powtarzamy za Ameryka-Echo następującą wiadomość:

Ostatnio nadeszła depesza z Warszawy do Chicago, która podaje, że "Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów rozpatrzył sprawę niezadowolonia, jakie wśród Polonii wywołały przepisy nowej taryfy celnej, dotyczące paczek z odzieżą używaną."

"Na skutek tego Ministerstwo Handlu Zagranicznego wydało instrukcję dla inspektorów celnych, zezwalającą im na szerokie zwalnianie własną decyzją od wszelkich opłat paczek z zagranicy, które mają wyraźny charakter pomocy dla osób jej potrzebujących, — a które zawierają używaną odzież i obu- wie".

A zatem uzasadnione niezadowolone Polonii Amerykańskiej na nowe drakońskie cła od odzieży używanej, uniemożliwiające skuteczną pomoc wielotysięcznym rzeszom biedaków, a zwłaszcza powodzian w Polsce, zostało w pełni uwzględnione doraźną decyzją Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, wskutek czego teraz paczki będą zwalniane od "wszelkich opłat", jak głosi wyżej wspomniana depesza.

Należy sądzić, że za tym doraźnym i słusznym zarządzeniem, które częściowo rozładuje niezadowolone wśród Polonii, pójdzie taka zmiana nowej taryfy, aby fala niezadowolonia odeszła na stałe i Polonia mogła, jak przed tym, nieść skuteczną pomoc tym masom swych biednych krewnych w Polsce, które tej pomocy z Ameryki stale potrzebują.

ZMIANY W PRZEPISACH CELNYCH

Ukazało się nowe zarządzenie ministra Handlu Zagranicznego w sprawie zwolnień od należności celnych przedmiotów i towarów przywożonych z zagranicy lub wywożonych za granicę w obrocie pozaplanowym, czyli nie objętym umowami międzynarodowymi o imporcie i eksporcie. Zarządzenie to stanowi swego rodzaju nowelizację przepisów taryfy celnej przywozowej, wprowadza bowiem pewne istotne zmiany uzasadniające możliwość zwolnień i ulg od opłat celnych.

Nowe zarządzenie przewiduje, że urzędy celne mogą zwalniać od należności celnych częściowo lub całkowicie: "przedmioty

przesyłane z zagranicy dla osób pozostających na wyłącznym utrzymaniu instytucji opieki społecznej, dla osób znajdujących się w wyjątkowo trudnych warunkach materialnych oraz dla młodzieży studiującej, której wyłącznym źródłem utrzymania jest stypendium". Niezależnie od tego w przywozie i wywozie mogą być zwolnione częściowo od opłat celnych "przedmioty, których wartość została poważnie obniżona w wyniku zepsucia, uszkodzenia lub zużycia, a taryfa celna nie przewiduje odrębnych stawek dla przedmiotów używanych...; w przywozie — przedmioty, od których należne cło przekracza wartość towaru na rynku wewnętrznym, a ilość i rodzaj towaru nie wskazuje na jego przeznaczenie handlowe".

W zarządzeniu znajdujemy również nowe przepisy celne obejmujące osoby stale zamieszkałe w kraju, a czasowo przebywające za granicą. Otóż, jeśli pobyt za granicą trwał nie mniej niż trzy miesiące i gdy okoliczności wskazują, że przywiezione towary mogły być zakupione bez naruszenia przepisów dewizowych lub za otrzymane za granicą wynagrodzenie, suma należności celnych, od których uiszczenia może być zwolniony podróżny, może być podwyższona przez Centralny Zarząd Cel do 3.000 zł.

Ustalono również zostały okoliczności, w jakich podróżny może przesłać do kraju przedmioty stanowiące jego osobistą własność — bez żadnych opłat celnych. Wzięte są tutaj pod uwagę m.in. lekarstwa i pomoce naukowe. Zarządzenie obowiązujące od 20 lutego br.

NOWOŚCI HANDLU SPOŻYWCZEGO

W rb. mają się ukazać w handlu spożywczym w Polsce nie wytwarzane dotychczas płatki z ryżu, kukurydzy, pszenicy i jęczmienia. Z tej samej dziedziny przetworów zbożowych znajdzie się na rynku prażone i preparowane ziarno różnych zbóż, witaminizowane z dodatkiem soli mineralnych, przypraw, tłuszczów roślinnych itp. Potrawy z preparowanego ziarna coraz popularniejsze w krajach Europy i w Stanach Zjednoczonych, gdzie wypierają pieczywo, można chrupać na surowo, jeść po ugotowaniu w mleku lub w zupie itp. Będzie ponadto produkowana kasza jęczmienna i perłowa, preparowana i prażona. Skończy się prymat palonej kaszy gryczanej. Poza tym, nowy rodzaj pieczywa — biskwity, coś pośredniego między waflem, a sucharkiem, nadające się szczególnie do kanapek, rosołu, barszczu i pod piwo.

Elektryczne instalacje przemysłowe niskiego i wysokiego napięcia

ELOBRA

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brig. Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

Dr Samuel Lewkowicz

C.R.M. 1302

Absolwent wydziału medycyny w Paryżu (Sorbona) i w Brazylji. Lekarz Stowarzyszenia Pracowników Instytucji Publicznych stanu São Paulo. Lekarz I.A.P.I.

RADIOSKOPIA, ELEKTROTHERAPIA
KLINIKA DLA DOROSŁYCH I DZIECI

Mówi się po polsku
On parle français

Ambulatoria:

Rua Ribeiro de Lima, 444 — Rua Formosa, 367 16º
Od 15.30 do 19.30 Od 10. do 11.30
Tel. 36-8469 i 34-7803 Tel. 32-3847

Mieszkanie:

Rua Prates, 209 apt. 71
Tel. 36-8469

SÃO PAULO

Z serii przetworów warzywno-owocowych ukażą się serki z marmolad owocowych, soki z marchwi, buraków i kapusty kiszzonej, marchew tarta z jabłkami oraz różnego rodzaju sałatki konserwowe z zielonych pomidorów.

MIESZKANIE ZA DEWIZY

Podajemy za Życiem Warszawy pytania i odpowiedzi redakcyjne w niektórych ważnych sprawach:

Pytanie: Mój kuzyn, zamieszkały w USA, chce mi kupić w Warszawie mieszkanie spółdzielcze za dewizy. Jakie formalności są do tego potrzebne?

Odpowiedź: Istnieje kilka możliwości załatwienia tej sprawy. Nie sposób wszystkich wymienić w naszej skromnej rubryce. Ogólnie możemy tylko powiedzieć, że formalności nie są skomplikowane, a wszelkie szczegóły mogą być wyjaśnione w wydziale handlowym Banku Polska Kasa Opieki przy ul. Traugutta 7. Przy okazji możemy poinformować, że np. domek jednorodzinny kosztuje 6-8 tys. dolarów.

Pytanie: Krewny mól obywatel USA, pragnie powrócić na stałe do Polski i osiedlić się w Warszawie. Jaki byłby najszybszy i najlepszy sposób zakupu mieszkania na terenie Warszawy? Czy fakt, iż repatriant zakupi mieszkanie na terenie Warszawy rozwiązuje automatycznie problem zameldowania?

Odpowiedź: Bank PKO wa wielkie trudności z uzyskaniem mieszkań (sytuacja jest wiadoma), z domkami jest łatwiej. Najlepiej wejść z PKO w kontakt bezpośredni. Sumy uzyskane przez bank PKO można oczywiście przeznaczyć na mieszkanie spółdzielcze, ale okres wyczekiwania jest bardzo długi. Mimo wszystko łatwiej byłoby skorzystać z pośrednictwa PKO, tam terminy w zależności od sytuacji mogą się zamykać w granicach paru miesięcy. Uzyskanie mieszkania własnego w Warszawie, w tym także za pośrednictwem PKO, oznacza pozytywne załatwienie sprawy zameldowania.

DEWIZY W LISTACH

Pytanie: 1) Czy można przysłać z zagranicy walutę w listach wartościowych zalakowanych. 2) Jeżeli ktoś mieszka poza Warszawą i otrzymuje pieniądze z zagranicy (waluta w przeliczeniu na złotówki) czy może odebrać je w miejscu swego zamieszkania, a jeżeli nie, czy może dać upoważnienie mieszkańcom Warszawy?

Odpowiedź: 1) Można otrzymać dewizy w listach wartościowych z zagranicy. (Odradzamy dokonywania tej samej operacji w listach zwykłych, poczta nie odpowiada za nie).

2) Jest możliwe i jedno i drugie. Może je Pan otrzymać przez pocztę i może je Pan podjąć w najbliższym oddziale NBP.

STAROPOLSKA GOŚCINNOŚĆ

Pytanie: Przyjeżdża do mnie niebawem z wizytą moja bratowa z zagranicy. Mieszkam z synem w tzw. "kołchozie" w jednym pokoju i nie mam możliwości zakwaterować jej u siebie. Czy nie będzie to przestępstwem dewizowym jeżeli wynajmę jej pokój w hotelu lub też prywatnie?

Odpowiedź: Goszczenie u siebie krewnych z zagranicy nie stanowi naturalnie złamania, jakiegokolwiek przepisu. To samo odnosi się do zapewnienia gościowi mieszkania czy pokoju, prywatnie lub w hotelu. Zgodnie z ustawą dewizową niemożliwe jest natomiast wypłacanie jakichkolwiek sum do rąk cudzoziemca.

CENY W POLSCE

Jarska kuchnia

Obiad tańszy: kapuśniak, pyzy z sosem grzybowym, kisiel owocowy z kremem — 12,45 zł. Obiad droższy: zupa ziemniaczana, kotlet jarski z ziemniakami i czerwoną kapustą, kompot — 14,75.

Przystawki: sałatka jarzynowa — 4 zł, — pasztecik — 3,35, jajko na sałatce z majonezem — 4 zł.

Zupy: kapuśniak z kiszzonej kapusty z pomidorami — 2,90 zł. barszcz z pasztecikiem — 2,90, owocowa z makaronem — 2,30, zupa ziemniaczana — 2,50.

Dania "drugie": pulpety z jarzyn w sosie pomidorowym z ziemniakami — 7 zł, — pasztecik poznański z ziemniakami, marchewką i groszkiem — 6,85, fasolka po bretońsku 5,15, kasza hreczana z sosem grzybowym — 6,40, pierożki leniwe — 6,35, ryż z rodzynekami — 4,90, ryż ze śmietaną i cynamonem — 3,85, laski z mleka — 4,80, kasza perlowa z masłem — 3,05, omlet słodki — 8,85, omlet z pieczarkami — 12,10, omlet ze szpinakiem — 8,70, jajka sadzone w sosie chrzanowym z ziemniakami — 10,40, pieczarki z rusztu z ziemniakami — 11,90.

Surówki: sałatka z kapusty czerwonej — 0,95 zł. surówka z cykori — 3,25.

Desery: Mleczko waniliowe — 3 zł. kompot mieszan — 2,90, galaretka owocowa — 3,70, jabłko w kremie — 3,15.

Skafandry

Damskie popelinowe, podbite krajowym misiem, w różnych kolorach — 745 złotych. Popelinowe z podszewką wełnianą, kołnierz-kaptur z misia, różne kolory — 500 zł. Czarne z rypsu, kolorowa podszewka, do noszenia na obie strony — 313. Czarne na wełnie kolorowej — 407.

Męskie czarne z podpinką wełnianą w różnych kolorach — 600 zł. Czarne popelinowe, podwójna kieszeń na piersiach — 408. Czarne pojedyncze — 272. Czarne z podszewką kolorową — 372.

BUDRYSÓWKI (kurtki o typie sportowym). Damskie, długość $\frac{3}{4}$, wełniane w dużą kratę, z podszewką — 407 zł. Z wełny wielbłądziej, beżowe — 540.

Męskie, z wełny wielbłądziej — 735.

KURTKI z popeliny na podpince, — 860 zł. Z rypsu, kołnierz z misia — 615. Z "zerówki", podszewka futrzana — 965.

PŁAZAMY MĘSKIE. Flanelowa — 98 zł. Kretonowa — 95. Popelinowa — 265.

Rękawiczki

Damskie: zamszowe jugosłowiańskie w różnych kolorach: bordo, zielone itd. na oryginalnym futerku, pięciopalcowe — 220 zł. Węgierskie pekary na wełnianej podszewce — 200, także bez podszewki, popielate — 160. Jelonki (ircha) II gatunek — 122. Skórkowe za łokieć, produkcji krajowej, w różnych kolorach — 340, także, poniżej łokcia — od 140 do 200. Simplexy (tekstylne) do łokcia w różnych kolorach — 75, simplexy $\frac{3}{4}$ od 55 do 60. Rękawiczki jedwabne — od 38 do 60, wełniane — od 26 do 60.

Męskie: bez podszewki — od 50 do 180.

Wyroby z gąbki

Poduszczyki do wanny — 28 zł. Rękawice kąpielowe ze

szczętką — 28,50. Gąbki do mycia — 10. Dywaniki łazienkowe — od 70 do 162. Poduszczyki na krzesła, w pokrowcu lub bez — od 40 do 50. Oparcie dla kierowcy, w pokrowcu — 110. Materace gąbkowe na tapczan — 1.612. Siedzenia na motocykle z tworzywa gumowego — 1.612.

NACZYNNIA DOMOWE z tworzywa sztucznego.

Maselniczka — 9,50 zł i 12. Spodeczki różne — od 2,25. Szklaneczki — od 4,50. Wyciskacze do cytryn — 3,50. Misceczki różne — od 6. Rozpylacze (do pudru, talku) — 8. Szczypce gospodarskie — 5. Wieszaki składane — 4,50. Tajerze płytkie i głębokie — od 9.

SZNURO DO BIELIZNY ze stylonu, 25 m — 43 zł.

KWIATY SZTUCZNE do sukni — od 6,50 do 30 zł. Kwiaty dekoracyjne — od 8 do 30.

ŁÓŻKA TURYSTYCZNE, lekkie, aluminiowe z płótnem — 520 zł. Materace nadmuchiwalne krajowe, turystyczne, sztuka — 350.

MOTOCYKLE WFM typ MO 6125 ccm. za gotówkę — 7.000 złotych.

ANTENY pokojowe telewizyjne, dwa wazy — 220 zł.

RADIOODBIORNIK "Kos" - produkcji Zakładów w Dzierżonowie, 4 lampy, 3 zakresy — 800 zł.

NAPRAWA RUCHOMYCH PROTEZ DENTYSTYCZNYCH

Naprawa w ciągu pół godziny protez obu szczęk o ruchomej podstawie. Jest to sposób zapewniający bezbolesne żucie. Gwarantuje się wykonanie na poczekaniu wzmocnień uszkodzonych protez, które po naprawie służą lepiej, niż nowe. Wykonuje się nowe protezy i zapewnia ich wykonanie według tego samego systemu.

Naprawy na poczekaniu

Mówi się po polsku

Fritz S. Silbiger

Rua Benjamin Constant, 190 - 10 - Tel. 36-7502

São Paulo. Od 9 do 11 i od 13 do 17.

Soboty: od 8 do 12.

Indústria de Revestimentos TERRABONA LTDA.

- REBOCAL — massa fina para interno e externo, preparada com quartzito puro.
- GRANILITE — executamos todo e qualquer serviço.
- MASSAS PARA FACHADAS — fornecemos e executamos serviços em raspada - lixada - batida - lavada, imitação de travertino.
- PISO ROMANO — execuções em caco de mármore perfeitas.

ESCRITÓRIO: Rua Sete de Abril, 264 - 12.º - S/ 1206

Tels.: 36-8772 — 37-7336

FABRICA: Avenida Pavão, 955 - Tel.: 61-3191 (Indianópolis) — SÃO PAULO

Nowe wzory mebli

Pokój dla panienki w wieku od lat 10 do 18: łóżko, szafa, toaletka, stolik nocny, stolik, trzy krzesła, biały lakier z seledynowymi pasieczkami — 4.320 złotych.

Komplet kombinowany do kawalerki o mikroskopijnych rozmiarach, z 6 części, do układania na wszelkie sposoby i dający w sumie leżankę i kilka szafek, orzech — 6.045 zł.

Pokój sypialny, łóżko w kształcie tapczana bardzo niskiego, płaskiego, szafa, stoliki nocne z chowanymi lustrami, jesion — 9.700 zł.

Nowoczesna biblioteczka, 4 części zamykane zasuwami szklanymi, z czego 2 ze szkła przezroczystego, 2 z czarnego, bardzo efektowne — 2.000 zł.

Tapczan nowego wzoru — 3.000 zł. starego wzoru — 1.800 zł.

Amerikanka (nowego wzoru) 2.500 zł. - starego wzoru od 1.700 do 2.200 zł.

Jaja

Nowa cena od końca lutego b. r.: Świeże I gat. ceny obniżone z 2.30 zł do 2.00 zł. za sztukę; II gat. z 2.10 do 1.80 zł. za sztukę.

Chłodnicze — ceny obniżone z 1.80 na 1.60 zł. za sztukę.

Wapnowane — ceny obniżone z 1.50 zł. na 1.30 za sztukę.

MEZALIANSE ŻUBRA — UDANE!

Bardzo ciekawy eksperyment został podjęty w Białowieży z krzyżowaniem bydła domowego

rasy czarno-białej z żubrami. Eksperymenty takie były podejmowane w niejednej placówce naukowej: w sześćdziesiątych latach ub. wieku próby takie robił nawet na własną rękę pewien polski ziemianin z Mińszczyzny, ale dotąd nie udało się otrzymać potomstwa od żubry. Inaczej mówiąc były to krzyżówki "jednostronne".

Po raz pierwszy krowa żubra pokryta bykiem domowym urodziła ciele właśnie w Białowieży. Mały Filon jest ulubieńcem pracowników zakładu i całej służby leśnej, gdyż podobno jest bardzo "przystojny" i wesoły. Ma już obecnie brata — Filipa oraz 3-miesięczną "kuzynkę" jałoweczkę Fumę (pochodzącą od krowy domowej krytej żubrem). "Młodzień" czuje się znakomicie, krytyczny okres rozwoju ma już poza sobą.

W 1963 r. — TEATR WIELKI W WARSZAWIE

Za dwa i pół roku, to jest z początkiem sezonu jesiennego 1963 roku otworzą się dla publiczności podwoje wkrzeszonego, a zarazem i rozbudowanego Teatru Wielkiego w Warszawie.

Zakończono już prace nad częścią budynku — przeznaczoną dla administracji i pomieszczenia gospodarcze. Gotowe są pokoje ambulatorium, sale przyszłego muzeum, magazyny itd. Z początkiem lata br. przewiduje się oddanie do użytku

wielkiego foyer a także kompleksu garderób teatralnych oraz pomieszczeń dla solistów, chóru i orkiestry. Do końca b. r. oddane będzie tzw. piętro pracy, mieszczące się nad foyer. Będzie to prawdziwy raj dla artystów. Znakomicie wyposażone, przestronne sale prób, coś w rodzaju małych sal teatralnych, szereg pokoi dla ćwiczeń indywidualnych, dwie wielkie sale baletowe, wreszcie duży bufet i latem piękny taras.

Rok 1962 będzie pod znakiem urządzenia i kompletnego wyposażenia sceny i widowni. Ostatnim etapem prac będzie wykończenie głównego wejścia — hallu i prace instalacyjne dla gmachu. Przeniesienie Opery Warszawskiej do nowej siedziby na Placu Teatralnym powinno nastąpić w początkach 1963 roku.

DWA DRZEWKA OWOCOWE NA GŁOWĘ

W Polsce — jak wynika z najświeższych statystyk — jest przeszło 61 mln. drzew owocowych (przeciętnie dwa drzewa na głowę ludności), w tym 30% drzewek młodych do 7 lat, świeżo zasadzonych — i co za tym idzie — dostarczających jeszcze niewielkich ilości owoców. Gros ogólnej ilości drzewek, przeszło 30 mln. sztuk — to jabłonie, z czego połowa (15 mln.) jest odmian letnich, które rodzą owoce nie nadające się do przechowania na zimę.

Drugie miejsce po jabłoniach zajmują drzewka wiśni i czere-

śni (11 mln.), dalej gruszek: letnich odmian (5,4 mln.) i zimowych (1,8 mln.), śliwek węgierskich jest 5,5 mln. sztuk, innych śliw ok. 3,5 mln. szt. dalej 2 mln. drzew renklodowych, 300 tys. drzewek moreli i 200 tys. szt. brzoskwiń; orzechów włoskich jest w kraju 600 tys. szt.

Krzewy owocowe — zajmują 20 tys. ha., z czego połowę 10,3 tys. ha. — plantacje truskawek. Agrestu jest 2 tys. ha. maliniki zajmują 1,7 tys. ha. porzeczki zwykłe, kolorowe — 3,9 tys. ha. i wreszcie ostatnia pozycja — porzeczki czarne (2,6 tys. ha.), które w ostatnim czasie zrobiły na świecie zawrotną karierę.

— ☆ —

W KILKU WIERSZACH

VII międzynarodowy wyścig kolarski dookoła Egiptu zakończył się sukcesem reprezentanta Polski A. Piechaczka. W klasyfikacji indywidualnej zajął on pierwsze miejsce, przejeżdżając 1.700 km. trasę w łącznym czasie 47:11,06. Wyprzedził on reprezentanta Zw. Radzieckiego Kublina — 47:12,12.

☆

Stan zaludnienia Warszawy wzrósł w 1960 r. o dalsze 25.629 osób. Na 1 stycznia br., według danych prowizorycznych, stolica liczyła 1.142.390 mieszkańców, w tym ponad 38 tys. osób zameldowanych okresowo. W dalszym ciągu mieszkanki Warszawy mają liczącą przewagę. Jest ich o ok. 80 tys. więcej, niż mężczyzn.

W Brazylii o Polsce-w Polsce o Brazylii

QUADROS I KENNEDY

W artykule pod tym tytułem Stanisław Albinowski pisze na łamach Życia Warszawy:

Dwóch ludzi, którym opinia przydała miano "mocnych", zasiadło niemal równocześnie na fotelach prezydenckich: 43-letni John F. Kennedy w Waszyngtonie i 44-letni Janio Quadros w Brasili. Zachodni Niemiec "Handelsblatt" napisał w związku z tym, że narazie prezydent USA będzie miał na amerykańskim kontynencie partnera. A może przeciwnika? Brazylia i Stany Zjednoczone za bardzo wzajemnie siebie potrzebują, by ich prezydenci nie byli partnerami. Jednak sprzeczności interesów są zbyt mocno ugruntowane i jeśli Quadros — w przeciwieństwie do Kubitshka — zechce na serio bronić interesów swego kraju, a tym samym sprawy Ameryki Łacińskiej, jego stosunki z Kennedym nie będą mogły przypominać garden party w pogodny popołudnie.

Brazylia — mimo swego zacofania — jest najbardziej ekonomicznie rozwiniętym krajem Ameryki Łacińskiej. Od stanowiska Brazylii zależy praktycznie los układu z Montevideo o utworzeniu strefy wolnego handlu (LAFTA). W polityce i sytuacji ekonomicznej Brazylii koncentrują się jak w soczewce wszystkie główne problemy gospodarcze całej Ameryki Łacińskiej. I wreszcie już od czasów Kubitshka, który "realizując" swe wyborcze hasło "W ciągu 5 lat — postęp o 50 lat" nie potrafił zapobiec zepchnięciu gospodarki państwa na krawędź zupełnego chaosu, Brazylia pretenduje do roli rzeczniczki całej Ameryki Łacińskiej. Nie wiadomo czy Quadros podtrzyma opracowany przez swego poprzednika plan "Operacji Panamerykańskiej", niemniej pewne jest że będzie on musiał zająć się rozwiązaniem problemów rozwoju gospodarczego nie tylko w skali swego kraju.

Problemów tych jest wiele i tu właśnie rozpościera się teren, na którym — mimo całej wzajemnej zależności między republikami

południowymi i USA — może dojść do konfliktów między obydwoma stronami. Jednym z najważniejszych problemów — pisze Albinowski — jest problem stałości cen. Ceny na surowce eksportowane przez Amerykę Łacińską stale spadają a kształtowanie się tych cen zależy w pierwszym rzędzie od Stanów Zjednoczonych jako głównego importera.

Problem stałości cen musi być rozwiązany i będzie to niewątpliwie jeden z najtrudniejszych punktów dialogu między Kennedym i Quadrosem, który zdaje sobie sprawę z konsekwencji faktu, że np. w I półroczu 1960 r. eksport brazylijski wzrósł ilościowo o 18,5 procent, jednak uzysk dolarowy podniósł się tylko o 1,4 proc.

PROPOZYCJA POLSKI

Estado z dn. 22 marca br. przynosi następującą wiadomość:

W dniu dzisiejszym skierowana została na ręce prezydenta Janio Quadros propozycja rzą-

du polskiego w sprawie wymiany różnego rodzaju urządzeń, włączając w to maszyny dla przemysłu ciężkiego, na kawę i inne produkty brazylijskie. Propozycja przedstawiona została na piśmie przez p. Józefa K. Wejnera w imieniu Wydziału Handlowego Ambasady Polskiej w Brazylii szefowi Kancelarii Cywilnej Prezydenta Republiki p. Quintanilha Ribeiro. Ten ostatni przekazał ją spieszenie p. Janio Quadros.

"Brazylia nie będzie musiała wydać jednego centa w gotówce i propozycja nasza zawiera również poza wymianą w ścisłym tego słowa znaczeniu — udzielenie kredytu długoterminowego" — oświadczył p. Józef Wejner, który złożył wizytę w pałacu Planalto w towarzystwie deputowanego Franco Montoro. Wyjaśnił, że w propozycji wymienione są urządzenia dla różnego rodzaju zakładów przemysłowych, włączając w to urządzenia termoelektryczne, hydroelektryczne i dla hutnictwa, jak również dla budownictwa domów prefabrykowanych.

Co nowego w przemyśle krajowym

STUPROCENTOWA ... "ELANA"

Wkrótce ukaże się na rynku pierwsza partia garniturów męskich wyprodukowanych przez Krakowskie ZPO z włókna "elany".

Garnitury charakteryzują się tym, że nawet po zmoknięciu nie tracą fasonu (ani kantów) i schną bardzo szybko. Koszt elanowego garnituru wyniesie około 1.600 zł.

SIARKA SPOD WODY

Jak wykazały badania geologiczne przeprowadzone w okolicach Tarnobrzegu, Machowa i Piaseczna, w woj. rzeszowskim pod obecnym korytem Wisły znajdują się ogromne złoża rudy siarkowej. Zasoby spod Wisły ocenia się na co najmniej 10 procent ogólnokrajowych zasobów "żółtego bogactwa" i w przybliżeniu określono ich wartość na ponad ćwierć miliarda dolarów.

W związku z tym, że eksploatacja podwodnych pokładów jest bardzo utrudniona, wysunięto ostatnio w Chorzowskim Biurze Projektów śmiałą koncepcję zmiany biegu Wisły. No ok. 15 kilometrowym odcinku trzeba by przesunąć koryto rzeki poza teren złóż siarkowych.

Po wstępnych konsultacjach pomysł ten uznano technicznie za wykonalny. Obecnie bada się stronę ekonomiczną projektu.

LUKSUSOWE WIECZNE PIÓRA BĘDĄ PRODUKOWANE W CZĘSTOCHOWIE

Produkcję luksusowych piór wiecznych, ołówków automatycznych i stalówek do wiecznych piór typu "Parker" i "Szeffers" zamierzają rozpocząć Częstochowskie Zakłady Materiałów Biurowych.

Przewiduje się, że w pierwszym okresie Zakłady Materiałów Biurowych w Częstochowie produkować będą rocznie 550 tysięcy wiecznych piór typu "Parker" (różnych modeli), 250 tys. piór typu "Szeffers", 1 milion cylindrycznych stalówek do wiecznych piór i 1 milion zwykłych stalówek tego rodzaju. Roczna wartość produkcji tych luksusowych artykułów wynosić ma 55.800 tys. zł.

PONAD 7 MLN. TON STALI WYPRODUKUJE HUTNICZ- TWO W BR.

Rok bieżący będzie okresem dalszego wzrostu produkcji i rozwoju przemysłu hutniczego. Produkcja stali całego hutnictwa przekroczy 7 mln. ton i będzie o przeszło 6 proc. wyż-

sza niż w r. ub. Produkcja koksu osiągnie 11,5 mln. ton, surowki 4,7 mln. ton, a produkcja wyrobów walcowanych 4,5 mln. ton.

Przyrost ten ma być osiągnięty bez zwiększenia stanu zatrudnienia drogą dalszego zwiększenia wydajności pracy oraz przez przekazanie do ruchu nowych obiektów.

POLSKIE SAMOCHODY- CHŁODNIE

W dziedzinie chłodnictwa i przechowywania towarów żywnościowych Polska należy do krajów zacofanych.

Jeżeli chodzi o transport, trochę lepiej rzecz się przedstawia na kolei, gdzie kursuje na co dzień 198 wagonów - chłodni rozmaitych typów. Co prawda niektóre z nich pochodzą z lat 1902-3 i tylko dzięki starannej konserwacji są jeszcze na chodzie, ale grunt w tym, że polski przemysł produkuje już pewną ilość nowoczesnych wagonów.

Gorzej natomiast z transportem samochodowym, który właśnie w dużym stopniu decyduje o sprężystości zaopatrzenia w tak podstawowe produkty jak mięso i mleko oraz masło.

Import samochodów - chłodni jest ograniczony. Dlatego też mimo stałego dopływu pewnej ilości wozów potrzeby zaspokajane były mniej więcej w 1/10.

Przemysłowa produkcja samochodów - chłodni z agregatami chłodniczymi ruszy w końcu r. 1962, z tym, że jeszcze nie wiadomo kto i jak produkować będzie agregaty.

Przemysł przetwórczy mięsny i mleczarski nie mogą tak długo czekać. Pracownicy przemysłu mięsnego w jednej z bydgoskich spółdzielni wybudowali na podwoziu STAR'a wóz - chłodnię, do której "domowym sposobem" dorobili agregaty w swych zakładach remontowych w Bytomiu. Koszt ok. 240 tys. zł. Od września już jeden taki wóz biega po całej Polsce. Temperatura — 18 tys. st. (przeziłowa) osiągana jest bez trudu. W roku bież. chcą wyprodukować 20 podobnych wozów.

Inną drogą poszedł przemysł mleczarski, który skonstruował samochód, chłodzony lodem. Pierwszy samochód tego typu zademonstrowano niedawno.

Samochód (w seryjnej produkcji kosztować będzie ok. 300 tys. zł.) jest skrzyżowaniem ciągnika Star 125 z obudową wozu meblarskiego w pomysłowy sposób przystosowaną do potrzeb chłodnictwa. Zabiera 88 beczek masła. Na uwagę zasługuje kabinka szofera z wodą do

mycia, radiem itd. (Szoferzy takich wozów przebywają do 15 godzin w drodze).

NOWA WIELKA ELEK- TROWNIA BUDUJE SIĘ W WARSZAWIE

Na Siekierkach w Warszawie od ponad dwóch lat powstaje "następna fabryka światła, siły i ciepła" — trzecia po "Powieściu" i "Żeraniu" warszawska elektrociepłownia.

Dźwignięto już i przygotowano do wykończenia główny gmach wielkiej siłowni, wewnątrz której znajdują się turbozespoły; przygotowano urządzenia przyszłych rozdzielni elektrycznych, gotowa jest i otwarta dla ruchu bocznicą kolejowa, przez którą od strony Okęcia nadchodzić będzie węgiel. Montuje się już wewnętrzne instalacje, urządzenia ogromnych kotłów parowych, przygotowuje potężne fundamenty, na których staną turbogeneratory. Według orientacyjnych obliczeń dotychczas wykonano już około 30 - 35 procent całej budowy.

Pierwszy prąd powinien popłynąć stąd jeszcze w tym roku. Pod koniec października, z

szybkością kilku tysięcy obrotów na sekundę, zaczną kręcić się ogromna, 50-Megawatowa turbina. Taka jedna (największa zresztą w stolicy) oświetlić może miasto większe np. od Katowic. Kilka tygodni później powinna być uruchomiona druga — również elbląskiej produkcji "trzydziestka" — turbogenerator o mocy 30 MW.

PIERWSZE 50 TON SIARKI Z MACHOWA DLA ZAKŁADÓW PRZETWÓRCZYCH

Uruchomiony w grudniu ub. r. kombinat chemiczny w Machowie k. Tarnobrzega rozpoczął dostawy siarki dla zakładów przemysłowych.

W połowie lutego br. odszedł pierwszy transport siarki — ok. 50 ton, dla fabryki kwasu siarkowego w Toruniu. Łącznie w pierwszym kwartale br. zakład kombinatu wyprodukuje ok. 12 tys. ton siarki.

W marcu rozpoczęto wysyłkę do Czechosłowacji.

Do końca br. kombinat w Machowie wyprodukuje 116 tys. ton czystej siarki, z czego na eksport ok. 40 tys. ton.

Casa Franca

PEDRALIT REVESTIMENTOS LTDA.

ESCRITÓRIO: Rua Barão de Itapetininga, 124 - 6.º -
s/603 - Telefones: 36-6734 e 36-0750

FÁBRICA: Rua Amaro Cavalheiro, 381 (Pinheiros) -
Telefone: 8-1189 - SÃO PAULO

REVESTIMENTOS EM GRANILITE — DECORAÇÕES EM
GESSO. Massas para reboco: STANDARD interno. — Pedra-
lite externo. ARTEFATOS DE CIMENTO: Balaustrades, tan-
ques, colunas, vasos — ARTEFATOS DE GRANITO:
Pedras para pias, mesas e filtros — LADRILHOS

W KILKU WIERSZACH

"Myjcie się, myjcie dziewczyny" — nawoływał pewien fraszkopisarz — jak się okazuje bezskutecznie.

Jak wykazują dane statystyczne:

W 1958 r. Polska była na 23 miejscu, jeśli chodzi o spożycie środków piorących w kilogramach na 1 mieszkańca

1½ tuby pasty do zębów przypada na 1 mieszkańca w ciągu roku

Mydła toaletowego jeden "statystyczny" Polak zużył w 1959 r. "aż" 370 gr, a zwykłego 1846 gr. — pozostając w tyle za wieloma krajami.

W r. b. przetwórnictwo owocowo-warzywne w Polsce przerobiło 328 tys. ton owoców, a więc o 28 tys. ton więcej, niż w urodzajnym roku 1958.

☆

Polskie Biuro Podróży "Orbis" organizuje w tym roku wycieczki zagraniczne do Niemiec Wschodnich, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii i Chin. Ceny są dość słone. Najtańsza 6-dniowa wycieczka do Niemiec Wschodnich kosztuje 2.250 zł., najdroższa do Chin (z Koreą lub Mongolią) całomiesięczna - 16.300 zł.

☆

CO OPOWIADAŁ LAURINDO VELHO

czyli Parana przed stu laty

PINIÓR

II.

Gontów z piniora nie znano. Później dopiero nauczono się je łupać. Nie znano też wozów czterokołowych, tylko kargiery (zwierzęta juczne) i wielkie, drewniane i skrzypiące, dwukołowe arby, ciągnięte przez woły.

Wielką nowość stanowiły czterokołowe wozy Niemców rosyjskich, wprowadzone po raz pierwszy po wojnie paragwajskiej i lekkie czterokołowe wózki kolonistów polskich, które pojawiły się w tym samym czasie.

Herwę sprzedawano na alkier. Woźniśliśmy ją do Morretes w koszach z takuary, zwanych patoá, mieszczących po trzy aroby t. j. 45 kg. towaru.

Podróż z Tamanduá do Morretes i z powrotem trwała miesiąc. Droga była ciężka, wyboista. Najwięcej dawał się we znaki odcinek pod Pão de Lo, gdzie na wielkich półokrągłych głazach przewracali się i padały kargiery. Trzeba było zatrzymywać karawanę i podnosić; wymagało to ciężkiej pracy.

Najniebezpieczniej było pod Sabioca-va. Trakt, przebitý w górę, mierzył tam półtora metra szerokości i cztery metry głębokości. Kargiery tarty się bokami o ściany przekopu.

Poniżej przekopu trakt zstępował stromo po skale. Po jednej stronie wisiała tu zrębana pionowo ściana skały, po drugiej zaś — widniała przepaść. Droga była tak wąska, że dwa kargiery nie mogły się minąć. Z tego powodu troper zjeżdżający w dół i ten, który piął się w górę, trąbili w wołowe rogi (businas), żeby jeden z nich zatrzymał się dopóki drugi nie przejedzie.

W dolinie trafiały się znowu miejsca błotniste, w których muły zapadały się prawie po brzuch. Trzeba było zdejmować ładunek i wyciągać muła z grzęzawiska, a potem ładować na nowo. Była to taka brudna i uciążliwa robota, że troper, który wyjeżdżał z domu w dobrej koszuli i spodniach wracał w łachmanach. Z koszuli zostawał mu tylko kołnierz, a ze spodni kawałek materiału pod pasem.

Zdarzali się też biedni, a silni ludzie, pochodzenia indiańskiego, którzy nieśli herwę do Morretes na własnych plecach. Jednym z takich chłopaków był João Gomes z Bugre pod Serrinhą. Sam przygotowywał herwę, tłukł miarko i ładował do specjalnego koszyka, zwanego sirio. Koszyk pleciony był z takuary — szerszy u dołu, a węższy u góry. Z wierzchu smarowano go mąką mandiokową. Mieściło się w nim 30 kg. herwy.

Gomes wiązał koszyk rzemieniami, brał go później na plecy, przeciągał rzemienie przez ramiona i czoło (po indiańsku) i ruszał w drogę. Szedł cztery dni tam i z powrotem. W Morretes za uzyskane pieniądze ze sprzedaży herwy kupował sól i inne potrzebne towary.

Sól sprzedawano w owym czasie w Morretes po 320 rejsów za alkier. Znajdował się tam wielki magazyn, w którym sól leżała grubą warstwą na podłodze. Szufłowano ją łopatami do worków.

Jedna vara tj. 110 cm perkalu t. zw. algodão branco kosztowała 4 wentyny, koszula 16 wentynów, flaszka wódki 4 wentyny i tyleż gliniana fajeczka.

Po wyładowaniu herwy w Morretes troperzy otrzymywali w prezencie od kupców: dwa kg. soli, kiść bananów, osiem litrów wódki i szmaron na drogę powrotną.

W drodze do Morretes przejeżdżaliśmy przez Kurytybę, ale mijaliśmy ją szybko, aby camaradas nie skusili się urokami dużego miasta. Trunki, świecidełka i prostytutki psują ludzi. Obozowaliśmy zawsze poza miastem.

Najstarszym kościołem w Kurytybie była Matriz (katedra). W czasie wojny paragwajskiej ukończono budowę dwóch kwadratowych wież na froncie. Starzy ludzie opowiadali, że cmentarz znajdował się niegdyś obok katedry. Za moich czasów przeniesiono go na Alto do Rosario. Był niewielki i ogrodzony sztachetami. W tym miejscu wybudowano kościół, a nowy cmentarz urządzono na szakrze księdza Agostinho przy rua Trajano Reis.

Na placu 19 de Novembro znajdowała się publiczna studnia zwana Chafariz. W pobliżu niej, w miejscu, gdzie obecnie mieści się Passeio Público, ciągnęło się wielkie trzęsawisko.

W mieście nie było jeszcze wówczas fabryk, ani młynów herwowych. Kurytyba rozwinęła się dopiero z upadkiem Tamanduá. A jak się to stało opowiem.

W owych czasach ludzie zajmowali się przeważnie hodowlą i handlem bydłem. Przemysł ten kwitł najbardziej na drodze prowadzącej z Rio Grande do Sorocabą w São Paulo. Na tym właśnie gościńcu rozrosło się miasto Tamanduá, w którym osiedli hodowcy i kupcy bydła oraz różni dygnitarze, jak: pułkownicy gwardii narodowej, politycy i sędziowie. Było im tam dobrze ze względu na interesy i łatwą komunikację z São Paulo.

Gdy wybuchła wojna paragwajska Montevideo i Buenos Aires pozbawione zostały herwy paragwajskiej. Zwróciły się wtedy po herwę do Brazylii i znalazły ją w Paranie. Zaczął się wywóz i ceny poszły w górę. Spostrzeżono wkrótce, że przeróbka herwy i wywóz jej za granicę daje większe zyski, niż handel bydlętem. Ponieważ Kurytyba leżała między herwalami, w których preparowano mate i niedaleko Antoniny, gdzie wywożono ją za granicę, kapitaliści zaczęli przenosić się do Kurytyby i Morretes.

Tamanduá traciło powoli mieszkańców. Zostali w nim tylko właściciele fazend i domów. Było między nimi kilku pułkowników gwardii narodowej i kilku sędziów, ludzi wpływowych. Nie chcieli opuścić Tamanduá. Na dobitkę władze w Rio de Janeiro mianowały wysokim urzędnikiem parańskim coronela Gavião. Ten po przybyciu do Kurytyby i rozejrzeniu się wydał dekret, zgodnie z którym wszystkie osoby sprawujące władzę i urzędujące w Kurytybie, miały odtąd mieszkać w Kurytybie, nie zaś poza nią.

Dotknęło do obywateli Tamanduá. I oto pewnego dnia, gdy coronel Gavião otworzył drzwi swego mieszkania znalazł przed nimi zastrzelonego jastrzębia i kartkę tej treści:

A coronel Gavião,
Seu amigo chapeim:
Queira Deus
Não lhe aconteça
O que aconteceu pra mim!

(Do pułkownika Gavião — przyjacieli jastrzęb: dał by Bóg, by nie zdarzyło się tobie, co przytrafiło się mnie.)

Coronel Gavião po przeczytaniu tego ostrzeżenia spakował manatki i nazajutrz już go nie było w Kurytybie. Dekret pozostał jednak w mocy. Urzędnicy musieli się przenieść do Kurytyby i Tamanduá straciło znowu mieszkańców.

Odtąd Kurytyba rosła, a Tamanduá malało. Dziś jest nieczym więcej, niż wspomnieniem pięknych dni.

Z innych miast, w których bywałem, wspominam mile Sorocabę. Pędziliśmy tam muły kupowane od troperów z Rio Grande. Oprócz żywności potrzebnej w podróży braliśmy ze sobą kilkanaście arob dobrej szarki i wełnę. W Sorocabie sprzedawało się wszystko po niełej cenie. Czasami wieźliśmy niewolnika. Zbywało go się za tysiąc milrejsów. Później kiedy pauliści oszaleli z sadzeniem kawy cena za dobrego niewolnika doszła do dwóch tysięcy milów.

Z Sorokaby zabieraliśmy kawę ziarnistą, cukier, wódkę, tkaniny bawełniane, fakony, sukno na płaszcze i czerwoną bajetę (flanelę).

Wokoło Sorokaby ciągnęły się wielkie plantacje bawełny. Do wybuchu wojny paragwajskiej tkano ją jeszcze po domach. Robiła to głównie biedota, którą nie stać było na tkaniny fabryczne. Bogatsi kupowali materiały w sklepach.

(D.c.n.)

PINIÓR



Plac Trzech Krzyży w Warszawie.



Jedna z kukielek z widowiska Pomorskiego Teatru "Baj" według powieści: "Przyjaciół wesolego diabła" Makuszyńskiego.



Kabaret literacki "Wagabunda".



Barbara Bilińska, artystka scen warszawskich.

MAGAZINE DAS NAÇÕES
REVISTA DAS DOCAS DE SANTOS
ÓRGÃO OFICIAL DA COMP.
DOCAS SANTOS.

EDITORA & PUBLICIDADE

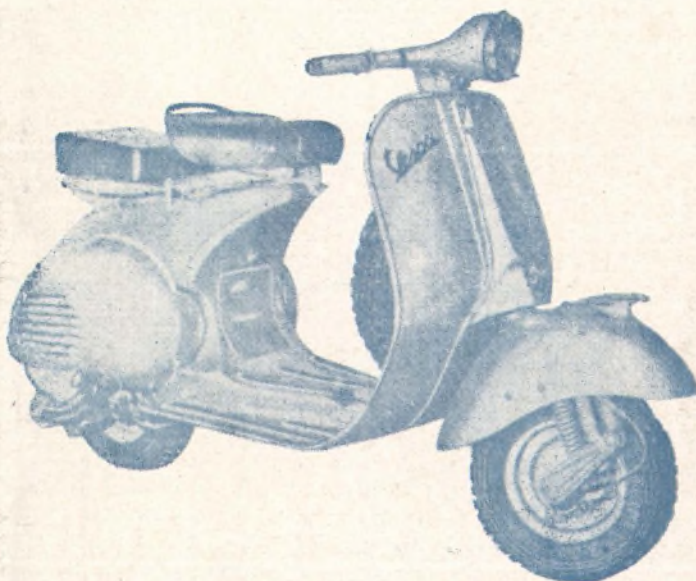
ROMAN Ltda.

MATRIZ : Rua Xavier de Toledo,
266 - Salas 91/92 Fones:
36-6122 e 34-8418 —
SÃO PAULO.

FILIAL : Av. Franklin Roosevelt,
126 - Sobreloja - Sala
203 — Fone 32-3710 -
RIO DE JANEIRO.

Filiais: Santos, Buenos Aires, Los
Angeles - California.

Vespa



STARMOTOR COMÉRCIO E IMPORTAÇÃO S. A.
Rua Martins Fontes, 185. - Tel.: 32-2027 - SÃO PAULO



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJA

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"

PIĘKNA KOBIETA

UŻYWA JEDYNIE

wodę kolońską 44

na prawdziwych olejkach
francuskich

firmy

INDÚSTRIAS COSMÉTICAS
FRANCEZAS

Rua Vitorino Carmilo, 330 - Tel.:

52-4095 — SÃO PAULO



CONSTRUTORA

IMOBILIÁRIA

ADMINISTRADORA

Companhia Comercial Construtora e de Administração

Avenida São João, 1086 — 4.º Andar — Telefone 36-7186 (rede interna) — SÃO PAULO

Nós planejamos, projetamos, incorporamos, construímos,
fiscalizamos, vendemos ou alugamos e, de ponta a ponta, todas
as operações recebem a mais completa assistência de um Depar-
tamento Jurídico altamente especializado.

42

criação

Tricot-Lã

sweater
original



um produto

TRICOT-LÃ S.A.

INDÚSTRIA DE MALHAS